PRO CHRISTO

WIARA I CZYN

ORGAN MŁODYCH KATOLIKÓW — MIESIĘCZNIK

Redaktor STANISŁAW BEREZOWSKI

Wydawca: Stowarzyszenie Społecznego Panowania Najświętszego Serca Jezusa w Rodzinach Chrześcijańskich.

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Moniuszki 3a

P. K. O. 10.115 Telefon 163-44

Biuro i telefon czynne w dni powszednie od godz. 10—12 i od 15—17

Rękopisów redakcja nie zwraca.

RELIGJA I MORALNOŚĆ

Pro Christo!

O nowy cud nad Wisłą.

Przenieśmy się wspomnieniami do pamiętnych dni sierpniowych r. 1920-go.

Z jednej strony panika powszechna, rozpacz, ucieczki tłumne całemi taborami ze Wschodu na Zachód; — z drugiej płomień bohaterstwa, który objął w Narodzie wszystko, co szlachetne, gorące i młode, zapał niemal religijny, gotowość na męczeństwo nawet w obronie zagrożonych skarbów wolności; śmiertelna niepewność o wieści z placu bojów, groza okrutnej katastrofy, a jednocześnie praca nad siły i możność ludzką w skupieniu mozolnych dni i nocy nad opracowaniem szczegółowego planu otoczenia nieprzyjaciela i kontr-ofensywy... i wreszcie, jak słońce podzwrotnikowe, jednym potężnym rzutem rozświetlające ciemności przedświtowe, jak żagiew, jasna, tryskająca nagle na tle czerni nocnej, wieść o zwycięstwie — o cudzie, który stał się nad Wisłą w chwili, gdy już zwątpienie i rozpacz trawiły ostatnie płomyki nadziei....

Ludzkiej to mądrości, ofiary i męstwa i bożej dobroci i miłosierdzia było dzieło i za takieśmy je uznali w historji i w sumieniu naszem.

Minęło już całych lat ośm od tych legendarnych w swej olbrzymiości i rozmachu dni.

Pozostały wspomnienia wzruszające, mogiła nieznanego bohatera, krzyżyki na pobojowiskach, tablice wmurowane ze złotem wypisanemi nazwiskami tych, co „odeszli na wieczną wartę", modlitwa za braci poległych i zmarłych na wygnaniu i w niewoli... a życie poszło dalej swoim zawrotnym trybem, znacząc każdy dzień, każdą godzinę i minutę swem znamieniem niezatartem.

I żłobi się znowu nowe łożysko życia polskiego w niepodległości, z nowemi ideałami nietylko wolnej, ale i mocarstwowej Polski, w zmaganiu codziennej walki już nie tej, orężnej, ale walki pracy i bezkrwawego zdobywania należnego nam miejsca w wielkiej rodzinie narodów świata.

Błysk bagnetów, tętent koni i grzmot armat zastąpił gwizd maszyn, łoskot i warczenie motorów, szmer piór, rzucających na papier słowa ważkie, historyczne i... zgiełk ulicy, coraz bardziej hałaśliwej. A w tym „chaosie pokojowym", obok wielkich duchów, twórców przyszłej mocarstwowej potęgi Polski, obok ich wysiłków tytanicznych i haseł świetlanych, które powinny stać się codziennym drogowskazem dla każdego obywatela, obok heroicznej wiary i ofiarnego apostolstwa, przebija się zgrzytem przeraźliwym okrzyk motłochu „panem et circenses!", ukazują się wśród fali ulicznej twarze, wykrzywione żądzą posiadania „per fas et nefas" majątku, władzy i sławy, słychać jak dawniej przed Piłatem głosy nienawiści partyjnej „Ukrzyżuj, ukrzyżuj!", rozbija się jedność Narodu przez hasła demagogiczne, w imię których niszczy się patrjotyczną pracę, szerzy się zarazę niewiary i demoralizacji.

Bywało tak zawsze, to prawda, odkąd świat istnieje, ale to nie znaczy, by tak być musiało zawsze. Walka dobra ze złem, cnoty z występkiem, anarchji z praworządnością i pracy z nieróbstwem musi być zawsze i skończyć się zwycięstwem jasności nad mrokami.

Oto jest ten drugi cud nad Wisłą, któregośmy z Bożą pomocą dokonać winni, by chlubnie dopełnić dzieła ofiary krwi i życia naszych bohaterów z pod Radzymina.

Będzie to najlepszem uczczeniem ich bohaterstwa i dowodem, żeśmy zrozumieli ideę, która ich pchnęła na bagnety i baterje wraże i żeśmy podjęli wysoko sztandar, który wypadł z ich gasnących w ostatnim wysiłku rąk na okopach pod murami stolicy.

W dniu rocznicy pierwszego cudu niech się wypełnią po brzegi świątynie pańskie, jak ongiś, lat temu ośm i niech tłum korny wiernych wzniesie ręce do Boga, dziękując za doznany znak widomy Jego łaski nad nami i błagając w pełnem namaszczeniu „Święty Boże!" o ten drugi cud zwycięstwa nad duszami własnemi i jak ongiś, niech ruszy z entuzjazmem i ze śmiertelnem postanowieniem „zginąć albo zwyciężyć!" na okopy wewnętrzne w domu własnym, w szkole, w urzędzie, w warsztacie, w organizacji, by od bram serc naszych odeprzeć falę najeźdźcy, wysłańca zła pod wszelką postacią i zapewnić zwycięstwo dobra, jedności, pracy i prawdy na całej linji frontu Rzeczypospolitej.

Dla Ciebie, Boże! i dla Ciebie, Polsko!

Bohdan.

Odrodzenia idą króle...

Po przez walki, po przez bóle,
Odrodzenia idą króle!
Odrodzenia idą pany:
Chłop, robotnik, wszystkie stany.

Minął przeszło sto lat długi,
Czas niewoli i katuszy.
Z serc błysnęły żywsze smugi,
Zaróżowił się świt duszy.

Wzejdzie zorza wnet promienna
Wiedzy, szczęścia, dobrobytu;
Nasza ciemna i więzienna
Polska stanie u rozkwitu!

Tylko, bracia, złączmy dłonie
W odbudowie lepszej doli,
Wszak w nas polskie serce płonie,
Wszak my dzieci jednej roli.

Precz zawiści, precz jątrzenia,
To godne wrogów oręży.
Przyszła chwila odrodzenia:
Miłość i prawda zwycięży.

Po przez walki, po przez bóle,
Odrodzenia idą króle...
Odrodzenia idą pany:
Chłop, robotnik, wszystkie stany.

M. Bańkowska.

Na Wniebowzięcie.

Ciebie Marjo chwalimy!

Ułożone przez św. Jana Eudes XVII w.

Te Mariam laudamus te coeli et terrae Dominam confitemur.
Te aeterni Patris charissimam Filiam,
Te Filii unigeniti dignissimam Matrem,
Te Spiritus Sancti dilectissimam Spon- [sam Omnis terra veneratur.
Tu sanctissimae Trinitatis gloriosis- [simum Sanctuarium.
Tu sanctae Ecclesiae pretiosissimum [gasophylacium.
Tu post Deum Spes unica peccatorum.
Tu maerentium et afflictorum Co- [nsolatrix suavrissima.
Tu omnium Christianorum Mater [augustissima.
Tu cordis nostri Regina benignissima.
Tu gloria Jerusalem. tu laetitia Israel [tu honorificentia populi nostri.
Tibi omnes Angeli et Archangeli: tibi [Troni et Principatus deserviunt.
Tibi omnes Potestates et Virtutes: ti- [bi omnes Dominationes oboediunt.
Tibi Cherubim et Seraphim incessa- [bili voce proclamant:
Sancta, Sancta, Sancta, Maria Mater [admirabilis.
Pleni sunt coeli et terra mirabilibus [misericordiae tuae.
Te glioriosus Apostolorum Chorus.
Te Patriarcharum et Prophetarum la- [udabilis numerus.
Te Martyrum et Sacerdotum candi- [datus laudat exercitus.
Te Confessorum et Virginum amabi- [lis collaudat coetus.
Te omnes Sancti et Electi toto cor- [de concelebrant.

Ciebie, Marjo, chwalimy ciebie, Panią [nieba i ziemi, wyznawamy.
Ciebie, Ojca Przedwiecznego naj- [droższą Córę,
Ciebie, Syna Jednorodzonego naj- [godniejszą Matkę
Ciebie, Ducha Świętego najmilszą, [Oblubienicę czci ziemia cała.
Tyś Najświętszej Trójcy najchwaleb- [niejszą Świątynią.
Tyś Kościoła Świętego najdrogocen- [niejszą Skarbnicą,
Tyś po Bogu grzeszników Nadzieja [jedyna.
Tyś smutnych i strapionych Pocie- [szycielka najsłodsza,
Tyś wiernych wszystkich najbardziej, [kochająca Matka,
Tyś serc naszych Królowa najła- [skawsza,
Tyś chwałą Jeruzalem, Tyś radością [Izraela, Tyś naszego ludu chlubą.
Tobie wszyscy Aniołowie i Archanioło- [wie: Tobie trony i księstwa służą,
Tobie wszystkie Potęgi i Moce: Tobie [wszystkie Panowania są posłuszne.
Tobie Cherubiny i Serafiny nieu- [stannym głosem wołają,
Święta, Święta, Święta, Marja Matka [przedziwna.
Pełne są niebiosa i ziemia dziwów [miłosierdzia Twego.
Ciebie chwalebny Chór Apostołów.
Ciebie Patrjarchów i Proroków wie- [lebne grono,
Ciebie Męczenników i Kapłanów [świetny zastęp wielbi.
Ciebie Wyznawców i Dziewic wdzięcz- [ny orszak wychwala,
Ciebie wszyscy Święci i Wybrani ca- [łem sercem wysławiają,

Te per orbem terrarum sancta confi-
[tetur Ecclesia:
Matrem immensae charitatis,
Venerandam et veram Dei Genoiricem
[et Immaculatam semper Virginem.
Tu ad liberandum omne genus huma-
[num Filium Dei in uterum suscepisti.

Per te, contrito capite serpentis aper-
[ta sunt fidelibus regna coelorum.

Tu ad dexteram Filii sedes in glo-
[ria Patris.
Tu ipsum nobis redde propitium,
[quem ad judicandum nos credi-
[mus esse venturum.
Tu pia, quaesumus, famulis tuis
[subveni, quos Filius tuus pretioso
[sanguine redemit.
Aeterna fac cum Sanctis Ejus in
[gloria numerari.
Salvum fac populum tuum, Domina
[et benedic haereditati tuae.
Et rege nos, et custodi nos in aeternum
Per singulos dies benedicimus te.
Et laudamus nomen tuum in saeculum
[et in saeculum saeculi.
Dignare, Virgo potens, sine peccato
[nos custodire.
Miserere nobis, Virgo clemens, mi-
[serere nostri.
Fiat misericordia tua magna nobis-
[cum, quia in te confidimus.

In te, Maria, speravi, non confun-
[dar in aeternum. Amen.

Ciebie po ziemi okręgu Święty Ko-
[ściół wyznaje:
Matkę bezmiernej miłości,
Czcigodną i prawdziwą Boga Rodzi-
cielkę i Niepokalaną zawsze Dziewicę.
Tyś dla wybawienia całego rodzaju
[ludzkiego Syna Bożego do łona
[przyjęła,
Przez Cię, po starciu głowy węża
[otwarte zostało wiernym królest-
[wo niebieskie.
Ty siedzisz po prawicy Syna w Bo-
[ga Ojca chwale.
Ty go dla nas przejednaj, który, wie-
[rzymy, że nas sądzić przyjdzie.
Ty litościwa, prosimy, z ratunkiem
[pośpiesz czcicielom Twym, któ-
[rych Twój Syn najdroższą krwią
[okupił.
Spraw, byśmy ze Świętymi Jego do
[wiecznej zaliczeni zostali chwały.
Zachowaj lud Twój, o Pani i błogo-
[sław dziedzictwu Twemu.
Prowadź nas i strzeż nas na wieki.
Każdego dnia błogosławimy Ciebie
I wysławiamy imię Twoje na wieki
[i na wieki wieków.
Racz nas, o Panno można, bez grze-
[chu uchować.
Zmiłuj się nad nami, Panno łaska-
[wa, zmiłuj się nad nami.
Niechaj będzie miłosierdzie Twe wiel-
[kie z nami bowiemeśmy zaufali
[w Tobie.
W Tobie, Marjo, położyłem nadzieję,
[niech nie będę zawstydzon na wieki.

B. W.

Trwoga przed Bogiem.

Chciałoby się użyć słów płomiennych, tchnących żarem nieziemskim, by choć w słabych zarysach oddać prawdziwą ideę dobrego Boga i przekonać samobójcze na tym punkcie dusze, że tego Boga jedynie kochać można i trzeba, odrzucając precz

wszelką bojaźń i strach, jako nietylko niegodne Jego, ale obrażające Go w najwyższym stopniu!

Kochać Boga po dziecięcemu, prosto, serdecznie, z całej duszy, jak najlepszego Przyjaciela i Towarzysza życia i mieć do Niego takież same dziecięce, proste i bezgraniczne zaufanie — to jedyny nasz obowiązek i nasz stosunek do Boga, którego Bóg tak bardzo pragnie, którego nas uczy już od tak dawna z najwyższem, mówiąc po ludzku, poświęceniem, jedyna nasza najwyższa radość i szczęście, którego tak pragniemy bardzo.

A, niestety, iluż się znajdzie takich „maluczkich duchem", takich prawdziwych dzieci Bożych?

Bać się Boga i przed Nim drżeć —to, powiedzmy śmiało, największa dla Niego obraza i wprost bluźnierstwo, wymierzone przeciwko istocie Jego istoty, którą jest jedynie Najwyższa Miłość.

A, niestety znowu, ilu się znajdzie takich, którzyby tego nie stwierdzili w sobie i nie stali się w ten sposób nędznymi niewolnikami, zamiast być synami Bożymi, radującymi się wolnością ich, do której tak wzruszająco nawoływał Chrystus, gdy z nami jeszcze przebywał na ziemi!

Trwoga i drżenie przed Bogiem,—są to terminy wzajemnie się wykluczające, uczucia, których zrozumieć niepodobna.

Bóg — to istota najlepsza, to Najwyższe Dobro, Miłość, Miłosierdzie z natury swojej. Jakżeż można obawiać się i drżeć przed tem, co jest najbardziej i jedynie miłości i najwyższego zaufania godnem?!

A jednak tak wielu jest ludzi, nawet wśród tych, którzyby mieć powinni najmniej ku temu powodów, a którzy na samo wspomnienie Boga poddają się jakiemuś spontanicznemu uczuciu terroru, a nie mogąc zaprzeczyć ani zatrzeć w swej świadomości faktu istnienia Boga, znoszą to jako bicz swego życia i największą jego tragedję...

Bóg — tragedja życia ludzkiego! — to szczyt, jeżeli nie przewrotności, to przynajmniej haniebnej ignorancji lub prawdziwie tragicznego naszego losu!

Na samą myśl, że kiedyś stanąć trzeba będzie przed trybunałem tego Boga i zdać Mu rachunek z najmniejszych czynów własnych, ludzi ogarnia lęk, którego nie umieją opanować.

Sprawiedliwość boża zmraża im krew w żyłach, majestat boży ich przeraża, a doskonałości boże, zamiast ich podnieść na duchu, jeszcze ich bardziej przytłaczają, uświadamiając im w całej beznadziejnej pełni ich własną nędzę i niemoc.

Kochają tego Boga i pewno szczerze, ale ta miłość nie rozszerza im serca i duszy, nie wywołuje uśmiechu na zbielałe trwogą wargi.

Niema tam nic synowskiego, nic, coby wybuchało z głębin duszy, jest to tylko wysiłek woli, połączony z czemś ciężkiem, twardem, koszmarnem, co paraliżuje wszelki odruch swobodny i lekki, jak u dzieci wyuczonych i wyćwiczonych w musztrze domowej, która im przepisuje pogodny wyraz twarzy, gdy się znajdą wobec rodziców i gości.

To nie jest ta miłość i wolność Synów Bożych.

Z pobudek religijnych to prawda — ale tem nie mniej bardzo pożałowania i potępienia godna.

Bóg dla tych biednych dusz — to „Pan nieba i ziemi", Najwyższy Sędzia, Monarcha Świata, mieszkający gdzieś daleko w swych pysznych pałacach, zimny, obojętny, wielki nieskończenie w swym majestacie, przed którym aniołowie na twarz padają, zakrywając oblicza swoje skrzydłami... to wszystkowiedzący i wszystkowidzący, wszędzie obecny Władca dusz, wypatrujący najmniejsze poruszenie naszych myśli i uczuć, notujący je sobie skrzętnie w swych nieomylnych księgach, by później, gdy przyjdzie moment strasznego sądu, wytoczyć nam z całą ukrytą satysfakcją wszystkie nasze przewinienia i... potępić bezlitośnie, jako marnotrawnych synów, bo przecież „nawet sprawiedliwy z trudem znajdzie łaskę u Niego" i „w aniołach swoich widzi nawet plamy", bo, ach! „Strasznem jest wpaść w ręce Boga żywego"!...

Tak sobie Boga przedstawiać — co jest, niestety, faktem zbyt powszechnym i przyczyną wszystkich naszych błędów i naszego ciągłego smutku duszy — to, powtórzmy z całym naciskiem, — największy nasz grzech i największe bluźnierstwo.

To nie jest ten dobry Bóg, o którym nas uczy wiara i rozum i doświadczenie historji — to karykatura Boga.

Jakżeż się to stało, żeśmy tak fatalnie zbłądzili i zmarnowali w nas prawdziwe pojęcie Boga?

Wiele na to przyczyn się złożyło, z których kilka wyliczyliśmy w poprzednim numerze „Pro Christo“.*) Są to: błędne wychowanie religijne, owiane duchem jansenizmu, pożałowania godne egzageracje niektórych kaznodziejów i autorów książek pobożnych, przykład niektórych świętych, nieścisłe wyjaśnienia pewnych tekstów Pisma św., wspomnienie popełnionych grzechów, temperament nieopanowany itp. Omówimy je wszystkie pokrótce.

Wychowanie. Bardzo wielu ludzi, w najbardziej nawet katolickich rodzinach, otrzymało wychowanie w duchu jansenistowskim.

Jansenizm, jedna z najokropniejszych herezyj, która w w. XVII i XVIII pod pokrywką wielkiej gorliwości o chwałę Bożą, wychodząc perfidnie, jako z punktu założenia, z idei wielkości i nieskończonego majestatu Boga, potrafiła swym jadem zatruć dusze i serca społeczeństwa, zakrywając właściwe oblicze dobrego Boga, ukazując jedynie strasznego Jehowę z góry Synaju, sfałszowała prawdziwą ideę Boga, doprowadziła w życiu moralnem do nienaturalnego rygoryzmu i w rezultacie ostatecznym odciągnęła od Boga cały szereg najlepszych dusz, odsunęła od Eucharystji widmem niegodności ludzkiej, zmroziła wszystkie serca obrazem Boga oddalonego, zimnego, otoczonego grozą majestatu, tyrana wreszcie, który nakłada ciężary ponad siły ludzkie, nie dając pomocy żadnej poza grupą wybranych, przeznaczonych do chwały.

Chrystus — według jej teorji — umarł na krzyżu tylko za tych wybranych, nie troszcząc się zupełnie o resztę ludzi w olbrzymiej większości.

Ludzie — to niewolnicy, jęczący pod jarzmem Boga, władcy świata i pod ciężarem swych ułomności, na które niema lekarstwa, skazani na mękę życia na świecie, który jest ich więzieniem i wygnaniem, w strachu i bojaźni przed twardą ręką Pana, widzącego wszystko, bez najmniejszej iskierki nadziei na przyszłość, albowiem „nie wie człowiek, czy zbawienia, czy potępienia jest godzien“, czy będzie zaliczony mimo swych nadludzkich wysiłków do szczupłego grona wybranych.

Wobec takiej teologji nikt nie śmiał podnieść oczu, by spojrzeć w twarz dobrego Boga, obawiając się gromu, którzyby zdruzgotał niepowściągliwego śmiałka.

---

*) Patrz „Pro Christo“ № 7 z lipca 1928 r.—Dysputy. Pokój duszy.

A dobry Bóg patrzył i patrzył, uśmiechał się całą mocą swej promiennej istoty, chcąc okazać wszystkim, jakim jest prawdziwie. Ale nikt nie spojrzał w Jego stronę. Paniczny strach wypełnił dusze, które wszędzie wyczuwały obecność Boga, zrywały się ku Niemu, ale drżały, jak pisklęta wypadłe z gniazdka, oczekujące każdej chwili ciosu drapieżnika, bojąc się choć kątem oczu zwrócić się w stronę domniemanego tyrana.

Trucizna ta, sącząc się nieustannie przez całe dziesiątki lat, zatruła tysiące najlepszych dusz, przekradła się do najbardziej religijnych rodzin, znieprawiła u samych podstaw zasady i metody wychowawcze, przenikając je nieświadomym, a zabójczym rygoryzmem, pod którego tchnieniem wszystko się zmrażało, zamykało i ginęło w męczarniach bojaźni i trwogi przed tym, który tyle ku nim wysyłał swych uśmiechów promiennych.

W dzieciństwie więcej straszono wrażliwe maluczkie dusze karą bożą za czyn niedobry, niż odkrywano dobroć i miłosierdzie Boga, to też w oczach przerażonego dziecka pozostała nazawsze surowa, mściwa twarz Boga, a nigdy nie zajaśniało Jego słodkie oblicze Ojca i Przyjaciela dzieci.

Późniejsze wykształcenie religijne i wychowanie nie dodało nic nowego, nie zdołało zatrzeć wrażeń poprzednich, a może nawet je pogłębiło i tak pozostał biedny człowiek na całe życie, nie mając nigdy odwagi spojrzeć w twarz dobrego Boga i rzucić się w jego otwarte ramiona.

Tyle wieków już przeszło od tych okropnych lat, a i dzisiaj rzadko się znajdzie człowiek, któryby do Boga po imieniu przemówił i wogóle odważył się na rozmowę z Nim serdeczną poza oficjalnym pacierzem na klęczkach, uważając każdą inną postawę wobec Boga, lub inny sposób zwracania się, poruszenie w rozmowie z Nim tematów obojętnych, domowych, czy osobistych — za zniewagę i grzech. Ciągle grzech i zawsze grzech, —jakbyśmy nie byli nigdy zdolni do dobrych czynów i nie byli w domu Ojca naszego.

Czyż Pan Bóg może być gorszy od człowieka? a jeżeli człowiek współczuje człowiekowi i wysłuchuje jego skarg, żalów i zwierzeń, czy jego radości, mniej zajmujących dla słuchacza i długich opowiadań o sprawach własnych—dlatego, że wie, że temu biedakowi lub szczęśliwcowi ulży to na sercu, podniesie i umocni go na duchu—czyżby Pan Bóg w swej nieskończonej

cierpliwości i pobłażliwości dla Swoich stworzeń, tego nie potrafił, owszem, tego nie pragnął, pragnąc jedynie szczęścia Swych ludzi, choć po iskierce, po kropelce tryskającego z ich serc i dusz?

Dlaczego więc niema tego zrozumienia i tego wyczucia wśród nas?

Wiele przyczyniło się do tego pojmowanie—również owiane duchem jansenistowskim—idei autorytetu w rodzinie i w społeczeństwie.

Wszelka władza w tych latach nieszczęśliwych oddaliła się bardziej jeszcze od tego, co jej było poddanem, niż w wiekach poprzednich.

Władza rodzicielska, społeczna, czy państwowa nie miała nic ojcowskiego w sobie. Poszanowanie i tylko poszanowanie, zimne, dalekie, niewolnicze, absolutystyczne, bez cienia żywszego uczucia, bez możności dania upustu jakiemuś cieplejszemu zwierzeniu, wylaniu się duszy, otwarciu serca. To wszystko przeniesiono, zachowując rozmiary nieskończone, na Boga i Jego stosunek do nas. W Bogu widziało się tylko majestat nieskończony, wszechmoc, świętość niedoścignioną i Jego prawo suwerenne.

To też jedynym stosunkiem, który mógł powstać, jako oddźwięk tego niewolniczego poczucia autorytetu, była bałwochwalcza cześć i bojaźń niewolnicza, w najlepszym wypadku miłość z szacunku, t. zw. amor, a raczej timor reverentialis, który zawsze nakazywał pozostawanie przy drzwiach komnaty ojcowskiej, kochając instynktownie tego ojca, ale drżąc przed Jego władzą, bo nikt nigdy nie pozwolił, ani nie nauczył biednego dziecka, że może się doń uśmiechnąć.

To była jedna z największych zbrodni w historji ludzkości.

* * *

Egzageracja kaznodziejów i autorów książek pobożnych.

Wielu kaznodziejów, szczególnie misyjnych z pewną predylekcją lub źle przemyślaną metodą poruszało (i porusza!) jedynie tematy terroryzujące dusze, uważając, że w ten sposób najłatwiej obudzi w nich sumienie i doprowadzi do skruchy. Żeby je poruszyć, żeby je wyrwać z uśpienia, z letargu, z obojętności i oziębłości duchowej przedstawiają im w barwach przejaskrawionych sprawiedliwość sądów bożych, gniew boży, suro-

wość sprawiedliwości, okropność kar, nie wspominając nic o miłosierdziu Boga i o Jego nieskończonej miłości dla ludzi. Za jedyną metodę przyjęli mocne, wstrząsające uderzenia i budzenie strachu i grozy.

W rezultacie uderzali zbyt mocno, wyciągając z arsenału Pisma ś-go wszystkie groźby i przekleństwa, jakie Prorocy rzucali na twardy, wiarołomny i niewolniczy naród żydowski, zapominając, że dawno te czasy już minęły i że inne dusze łakną od nich prawdziwego bożego słowa i że Chrystus już przeszedł po naszej ziemi.

W naukach, czy książkach swoich, zapuszczając się w rozważania doktrynalne, niejednokrotnie pozwalają sobie, czego nie można tłomaczyć ich dobrą wolą, na przedstawienie nawet dogmatyczne zbyt jednostronnie i ekskluzywnie jedynie tych stron istoty Bożej, które najmniej mogą pociągnąć słabe serca ludzkie i zastraszone dusze i które wywołują raczej jeszcze większe uczucie terroru, własnej niemocy i trwogi przed tą straszną wielkością i groźną sprawiedliwością Boga.

Nie można tego inaczej nazwać, jak „pobożną nieuczciwością", którą Bóg im daruje, bo dla Jego chwały i bez złej myśli były (i są) tworzone, ale które niemniej zabijają na wieki dusze.

Nie odtwarzają nam Boga takim, jakim On jest w istocie, zamilczając i ukrywając w cieniu najbardziej Jego charakterystyczne i istotne cechy: Jego ojcowską troskliwość, Jego przyjacielskie oddanie się i prostotę, Jego łaskawość nigdy niewyczerpaną i miłosierdzie nieskończone.

To nie jest herezja, tylko kwestja metody, do której powrócimy może później specjalnie, — ale jakże bolesna metoda, jak krzywdząca ludzi i jak katastrofalna w swych skutkach!

* * *

Przykłady niektórych świętych. W życiu niektórych świętych często czytamy—co zresztą jest podkreślane nieraz mocno przez hagjografów niezręcznych — o ich wielkiej bojaźni sądów bożych. Drżeli oni na samą myśl stawienia się przed trybunałem Sprawiedliwości Nieskończonej i powtarzali z autorem „Dies irae": „Cóż będę mógł odpowiedzieć, nieszczęsny? Komuż się polecę, jeżeli nawet sprawiedliwy z trudem znajdzie łaskę w oczach wszystkowiedzącego Boga?"

Te obawy i trwogi świętych sprawiają ogromne wrażenie na delikatne, skrupulatne i niewolniczo wychowane dusze, nieznające źródła tych wykrzykników i załamań psychicznych.

Główną przyczyną tych „nieświętych" momentów w życiu świętych było ich pojęcie o pokorze i wrażliwość wprost skrupulatna duszy, skrajnie i jednostronnie przeżywana.

Rozumiejąc, a raczej czując nerwowo, czem jest czystość nieskalana i świętość Boga i jaka jest przepaść nieskończona, zasadnicza między tą jasnością bez skazy i całym splendorem wszystkich doskonałości, a najmniejszym nawet pyłem moralnym duszy, pod jakąkolwiek postacią, drżały te biedne święte dusze na samą myśl, że mogą się okazać niezupełnie czystemi i nieskalanemi w oczach tego potrzykroć świętego Boga.

Wskutek swej skrajnej „pokory" święci owi uważali się i zupełnie szczerze w swojem własnem przekonaniu za wielkich grzeszników i „ostatnich z ludzi", oskarżali się z czarnej niewdzięczności, z nadużywania łask boskich, ze zbyt wielkiej uległości zepsutej naturze i t. p.

Nic dziwnego, że oddychając zatrutą atmosferą jansenistowską, która wciskała się do najświętszych miejsc, pod wpływem wychowania, które odebrali, z własnego temperamentu i z wielu innych przyczyn bardziej byli porażeni ideą sprawiedliwości, niż miłosierdzia bożego.

Lecz poza niewielką grupą świętych, którzy „zbawienie swoje sprawiali w drżeniu i bojaźni", jest cały legjon innych, którzy wznieśli się bez najmniejszej obawy w otwarte ręce miłosierdzia bożego i ojcowskiej boskiej opieki i znaleźli tam pokój i radość, która ich wypełniła aż po brzegi i uczyniła z nich wielkich „synów bożych", prawdziwych promieni słońca bożego na ziemi.

Pomiędzy nimi znajduje się wielu pokutników, których życie poprzednie zaznaczone było niejednym błędem, odstępstwem i zapomnienieniem o Bogu — a jednak, mimo wspomnień bolesnych z minionej przeszłości, większa w nich była ufność i wiara w dobroć i miłosierdzie Boga, niż obawa przed Jego sprawiedliwością.

I w tym nastroju, a raczej przekonaniu, wytrwali do końca, mimo, iż świadomość zbliżającego się sądu bożego winna była

według wszelkich praw psychicznych, wyprowadzić ich z tej radości ducha i przejąć trwogą i drżeniem.

Poszli na sąd boży z radością i śpiewem triumfalnym na ustach, jak na uroczystość weselną—i po sądzie łaskami, które za ich wstawiennictwem spływały i spływają na ziemię, dowiedli niezbicie, że przekonanie ich nie zostało zawiedzionem, że w Bogu znaleźli tylko Ojca i Przyjaciela, a sąd był ukoronowaniem dokonanego w nich dzieła łaski i miłosierdzia.

Wiedzieli o tem, że choć grzechy ich były wielkie, ększem było zawsze miłosierdzie boże, a niezachwianie ufając, śpiewali wraz z pokutującym Królem-Prorokiem: „Nadzieję miałem w Tobie, Panie, nie dopuść, bym został zawiedziony na wieki. Skłoń ku mnie ucho Twoje i pośpiesz się ku wybawieniu mojemu. Bądź mi Bogiem-Opiekunem i domem ucieczki, by mnie zbawić. Ty jesteś moją mocą i moją ucieczką. Oddaję duszę moją w ręce Twoje, albowiem Tyś mnie odkupił, Panie, Boże Prawdy. Wszystkie moje nadzieje w Tobie złożyłem. I będę się cieszył i radował w Twojem miłosierdziu, albowiem Tyś rzucił na mnie wejrzenie pełne współczucia i zbawiłeś duszę moją od boleści smutku“ (Ps. 30:2—8).

Te przykłady, zresztą liczniejsze od poprzędnich, powinny wywrzeć wrażenie przynajmniej niemniejsze od tamtych i natchnąć nas ufnością i otuchą—ale, niestety, są dusze, które odczuwają wprost potrzebę instynktywną i chorobliwą, by widzieć tylko to, co odpowiada ich „idée fixes” i co ich utwierdza we własnym rygoryzmie i samobójczem torturowaniu siebie samych.

Reszta dla nich nie istnieje, lub uważana jest za niebezpieczną i podejrzaną doktrynę, od której nietylko uciekać, ale którą nawet zwalczać należy, uciekając się do wszelkich środków, aż do—denuncjatorstwa włącznie.

Bóg i to przyjmuje i liczy im w ich dobrej woli za zasługę na Królestwo Niebieskie, bo dla Niego to wszystko one czynią — ale tyle dla nich jeszcze dni ciężkich zostaje, zanim to Królestwo przed niemi się otworzy, tyle godzin męki z zatruciem własnej duszy i tyle krzywdy dla innych!

(Dok. nast.). *Ks. A. Bogdański.*

Z dzieł kardynała Mercier.

Z ostatniego dzieła ś.p. Kardynała Mercier o *Życiu wewnętznem* (*La Vie Intèrieure*, 15-ty tysiąc, Bruksella—Paryż 1923), poprzedzonego pochwalnym listem papieża Benedykta XV, wyjmujemy i tłómaczymy dla czytelników *Pro Christo* niektóre stronice warte głębszego wżycia się. Nigdy dosyć o tych przedmiotach, których dusze obecne specjalnie są zgłodniałe, choć się wydają wyłącznie ubiegać za sensacją, nigdy dosyć, szczególniej wtedy, gdy możemy spotkać się, jak tutaj, z autorem bardzo wysokiego polotu, który z własnego świadectwa i z wysokiego kościelnego posłannictwa o tych materjach do nas przemawia.

* * *

Bóg jest naszym Końcem i Celem i Początkiem naszym. Dlatego jest Celem i Końcem naszym, iż jest on dla nas Początkiem.

Sprawić i odbyć powrót nasz do Tego, z któregośmy wyszli,—oto końcowy etap naszego przeznaczenia, predestynacji naszej, naszego bytowania.

Wykonanie i wypełnienie naszego przeznaczenia, uzyskanie Końca i Celu naszego, doskonałość nasza, polegają w niebiesiech a już nawet i na ziemi w zjednoczeniu naszem *trwałem* z Bogiem.

W dzisiejszym opatrznościowym rzeczy porządku, miłość sprawia i przeprowadza to zjednoczenie; ona to jest łącznikiem i związaniem doskonałości naszej.

A doskonałość nasza tu na ziemi, jest dziełem stopniowem. Udoskonalenie nasze wypełnia się; sprawia w miarę jak zjednoczenie nasze, dusz naszych z Bogiem przez miłość, staje się coraz bardziej wnętrznem i czystszem. O tak, zapewne, zamieszkanie w nas miłości, posiadanie przez nas miłości, na jakimkolwiek szczeblu jest już, w pewnej mierze, stanem doskonałości, podobnie jak dziecko w kołysce lub jak młodzieniec jest już człowiekiem. Jednakowoż, w ściślejszem tego słowa znaczeniu, stan w którym dusza przylega, przywiera do Boga w sposób trwały, niewzruszony i całkowity, taki który wszelki podział wyklucza, jedynie zasługuje na miano stanu doskonałości, podobnie jak jedynie i wyłącznie człowiek dorosły sprawdza

typ ludzki pełny. Przejściowe i poprzednie etapy, studja wymarszu, dalszego posuwania się (*incipientium* — zaczynających, *proficientum*—podróżnych na dalszych etapach drogi) prowadzą nas zwolna do stanu doskonałych (*perfectorum*) i nie są studjami doskonałości jak tylko względem stanu ostatecznego, trwałego, do którego mają i muszą formalną drogą dobić.

Miłość, włączając w nią i wiarę i nadzieję, które miłość w tym wypadku w sobie zamyka, miłość daje duszy wprost uchwycenie i posiadanie jej końca i celu. Trzy te cnoty *teologalne* lub *teologiczne*, jak je nazywają, Wiara, Nadzieja i Miłość dane są duszy na to, by duszę w sposób całkowicie prosty. bez pośredników, połączyć z jej Końcem i Celem.

Inne zaś cnoty, nazywane *moralnemi*, nadają dyscyplinę woli w używaniu środków które prowadzić mają człowieka do swego Celu i Końca. Wszystkie one zawierają się w czterech cnotach moralnych „fundamentalnych” podstawowych, lub „kardynalnych”, jak się je zwie t.j. umiarkowania, mocy duchowej czyli męstwa, sprawiedliwości i roztropności.

Roztropność sprawia i przewodzi miarze i równowadze życia moralnego. Jest ona stróżem i przewodnikiem cnót innych.

Umiarkowanie i moc ducha, to cnoty, które stosuje się do naszego osobistego życia.

Co zaś się tyczy sprawiedliwości, odnosi się ona do zachowania się człowieka względem innych. Jest ona nawykiem, sprawną dyspozycją, gotowością woli, by każdemu oddać co mu się należy. Sprawiedliwość względem Boga nazywa się *religją*. Chcieć oddać Bogu, co się Bogu należy—o to co znaczy być religijnym.

Religja to najwyższa z cnót moralnych, mówi Św. Tomasz z Akwinu, a pierwszym aktem wewnętrznym, który sprawia, to jest, mówi tenże doktór św. „*devotio*“, to jest *oddanie się* Bogu, pochodzące z łacińskiego wyrazy *devovere*, co znaczy swobodne i wolne oddanie się samego siebie na służbę Bogu, *dar z siebie* dla Niego własnowolnie uczyniony*)

---

*) **Summa Theologice,** 2a, 2ae, q. 82, art. 1. **„Voluntas quaedam prompte tradendi Se ad ea quae pertinent ad Dei famalatum“** — pewne usposobienie woli, rychłego, prędkiego oddania się temu, co służbę i domownictwo Boże stanowi.

Z prawa własności samego człowiek całkowicie do Boga należy i wcześniej czy później, własnowolnie czy też ze sprzeciwem swej woli podpadnie pod jego władzę. Lecz Dobroć boska nadaje nam władzę swobodną, wolność i zaszczyt oddania mu się samowolnego. Zapewne jest On naszym pierwszym Twórcą, Sprawcą. Zachowuje On nas i rządzi nami. Pociąga On nas i ku sobie nakłania. Daje On nam możność sprawowania i odbycia powrotu naszego ku Sobie. Lecz do nas to należy przyznać Panowanie jego, odpowiedzieć na jego zachęty i pociągi i przyznając nasze ubóstwo, naszą istotną bezsiłę, wyciągnąć serce i ręce nasze ku wszechmocnej jego pomocy. Właśnie to uznanie, czem jest względem nas Bóg i jaką dłużni mu jesteśmy ofiarę, oddanie się samych siebie, *donacja*, jest wypełnieniem *Sprawiedliwości religijnej*: ona to czyni z nas *Sprawiedliwych* w ogólnem znaczeniu tego słowa, ona sprawia, iż jesteśmy *zakonnikami**).

Pierwszym więc czynem i aktem religji, to owe oddanie się,—„*devotio*", oddanie się honorowe i szlachetności pełne, rycerskie, woli naszej w służbę Bogu.

Modlitwa myślna, modlitwa wogóle, „*oratio*" ,dopełnia tego pierwszego i zasadniczego aktu. Oddanie się bowiem, „*devotio*" trzyma duszę na pogotowiu służby Bożej; modlitwa zaś, oratio podnosi ją ku Bogu i sprawia, że lgnie ona z serca i z uczucia do Boga, że błaga Go, aby sprawił i spełnił czynem swej wszechmocy to zjednoczenie nasze z Dobrem doskonałem, najwyższem ku któremu wzdychamy, choć sami w żaden sposób dokonać Go nie jesteśmy w stanie. „Zjednoczenie bowiem nasze z Bogiem, twierdzi św. Tomasz, ma stanowić płodny przedmiot i ośrodek modlitw naszych**).

---

*) Tutaj autor gra niejako na francuskiem słowie **le religieux** — zakonnik. Wedle tej etymologji zakonnik jest doskonałym człowiekiem pełnie religijnym, **związanym** ze służbą Bogu. Etymologicznie słowo **zakonnik** od **zakon** w znaczeniu **prawa** (a więc sprawiedliwości) znaczy ostatecznie to samo. Tytuł rozdziału „**Czy jesteśmy zakonnikami.**" W tem znaczeniu każdy chrześcijanin jest zakonnikiem i tu na ziemi, i w nowicjacie Zakonu „**Chwały Niebieskiej**" (Przypisek tłóm.). Co zaś do poglądu Św. Tomasza, że religja należy do cnoty sprawiedliwości patrz specjalne nad tem studja.

**) Summa Theol. 2. 2. q. 83, a. 1, ad. 2: Hoc est praecipue in oratione petendum, ut Deo uniamur".—Oto mamy się przedewszystkiem modlić, aby być zjednoczeni z Bogiem (przyp. autora).

A jednak, wzięty sam w sobie, człowiek zakonny, człowiek religijny jest nieprzebraną tajemnicą—problematem nie do przebycia.

Przez to, co jest w nim najtajniejszego, najbardziej wnętrznego, najistotniejszego, człowiek ten czuje się pociągniętym do Boga, podczas gdy Majestat boski ukazuje mu się jednocześnie w niedosięgalnej dali.

Sumienie jego nakazuje mu ciągnąć do Boga Najwyższego i Pana, a kary jego i grzechy i nieczystości oddalają go od Boga Sprawiedliwości i świętości.

Stąd to narody ulepiają sobie bożków, aby uprzytomnić sobie Boga wśród siebie i sprawić niejako, aby wśród nich zamieszkał. Jednoczesnie jednak drżą przed bożyszczami temi i wyczerpują się na sztuczkach i wybiegach, aby ich gniew uśmierzyć.

Oto też Jehowa schodzi sam ku ludowi swemu wybranemu, lecz jest on jednocześnie spowity w grzmoty i pioruny góry Synai.

Zgromadza On Izraela wokół Arki Przymierza, lecz jednocześnie pada martwy ktokolwiek arki tej się dotknie.

Z ognistego krzaku woła On na Mojżesza, a jednak chce, aby pozostał w przyzwoitej oddali. „Stań,—powiada On do niego,—zdejm sandały twe, gdyż ziemia po której stąpasz, świętą jest“ (Exod. III, 5; 14).

Nakazuje on składanie ofiar, a gdy już na ołtarzach spływa krew kozłów ofiarnych i byków, rzuca w oczy Izraela sarkazmy i kpiny, mówiąc: „Gdyby mi się jeść chciało, czyż myślisz, bym ci to powiedział? Świat cały i przestworza jego czyż nie do mnie należą ze wszystkiem co zawierają? Czyż jeść będę z mięsa byków i pić ze krwi koźlej?”

„Daj za ofiarę Bogu dziękczynienia serca i spełnij twe przyrzeczenia, a wtedy będziesz mógł uciekać się do mnie w twej potrzebie, wtedy ja cię wspomogę i oswobodzę, a ty wyznawać mię będziesz i chwalić Imię Twoje“ (Psalm. 49, Deus deorum, IV 12—15).

Któż te antynomie rozświetli i któż pogodzi te sprzeczności i wyjaśni?

Jeden tylko: Pan nasz Jezus Chrystus.

„Bóg bowiem, to prawda, mieszka w niedościgłej i niesięgalnej jasności i nikt go nigdy nie widzi, ani też środków

i sposobów nie ma, aby Go widział", *) lecz jednocześnie obłóczył On ludzką naszą naturę i przyszedł zamieszkiwać w pośrodku nas" (Joan. I. 14).

Jest On, wprawdzie, Świętością samą, to jest Czystością nietykalną **) i gdy Piotr, jako świadek cudownego połowu ryb,czuje się niczem pod promieniowaniem Boskiej Dobroci, musi tylko te jedne wyrzec słowa: „Oddal się odemnie, Panie, gdyż jeno grzesznik jestem", ale w ludzkiem przyrodzeniu, w naturze ludzkiej, którą On przyjął na się (assumpsit), wziął na się również i złości i nieprawości nasze i wyprał je w swej krwi.

Ofiary prawa naturalnego i ofiary religji Mojżeszowej całkiem słusznie stają się przedmiotem jego pogardy. Lecy gdy wiara dołącza je do Ofiary boskiego Pośrednika, wtedy uświęcają one tych, którzy je ofiarowywują i tych, za których są ofiarowywane.

Religja łączy nas z Bogiem, uświęca nas, lecz w rzeczywistości istnieje już tylko jedna jedyna religja, ta, którą Chrystus Pan ma względem Ojca Swego. Jeden tylko jest Arcykapłan, który śmierć cierpieć zasłużył sobie na ukoronowanie go chwałą w Niebiesiech, Jezus, Syn Boga. ***) Jedna tylko jest Ofiara, której sprawowanie jest jedynem źródłem i krynicą uświęcenia i doskonałości dusz wiecznej.****)

Tym razem więc, Bracia moi, „mamy wolność do wnijścia swobodnego do Świętnicy, do wnijścia tam, spłukani i skąpani we Krwi Jezusa".*****) „Przybliżajmy się tedy z ufnością do tro-

---

*) „Król Króli i Pan wszelkiego Panowania... zamieszkuje światłość nieosiągnioną; jego żaden z ludzi nie widzi ani też widzieć nie może" Tym. 6:16

**) Per hoc quor Deus dicitur sanctus, significatur puritas divinae bonitatis. Summa Theol. 1a q. 26, art. 1, ad. 1. — Przez słowa, że Bóg jest święty rozumie się czystość absolutną boskiej dobroci.

***) „Widzimy Jezusa ukoronowanego chwałą i zacnością za męczeństwo poniesionej śmierci" Żyd. 2:9. Mamy więc arcykapłana, który wszedł w otchłanie niebios, Jezusa Syna Boga". Żyd. 4:3. „Mamy kapłana wielkiego przełożonego przed Domem Bożym". Żyd. 10:21.

****) „A zatem przez moc jednej jedynej ofiary, wypełnił powieczność wieków pełnię miary uświeconych". Żyd. 10 : 14.

*****) „A więc bracia, bądźcie mający ufność we wnijściu świętych przez krew i we krwi Chrystusa". Żyd. 10:19. Zauważmy, iż wszystkie te cytaty wzięte są z listu Pawłowego do Żydów (ad Haebr.), w których tak tajemniczo, podobnie jak i w Apokalipsie, i tak mocno wyrażona jest rzeczywistość liturgji uświęcania dusz. (dod tłom.).

nu łaski, aby osiągnąć miłosierdzie i znaleźć łaskę i by otrzymać pomoc w czasie pożytecznym." *) Lecz jednocześnie, „baczmy, abyśmy stawali (przed Bogiem) z duszą szczerą, w pełności wiary, z sercem czystem od wszelkiego wyrzutu grzechu, oczyszczeni w zbawiennej kąpieli (św. chrztu), niezachwianie stali w wyznawaniu naszej nadziei, wiedząc, iż Bóg nasz jest wierny w swych obietnicach".**)

W Chrystusie zatem i przez Chrystusa, wszyscy ochrzczeni są *zakonnikami* (ludźmi prawa, zakonu i *religji* – związku) i wszyscy są *swiętymi*. Gdy apostoł zwraca się do wiernych, nazywa ich świętymi, „powołanymi do świętości", „uświęconymi w Chrystusie Jezusie".***)

(d. c. n.)

Tad. Rzewuski.

DYSPUTY.

Poznanie Boga.

Pyt. Wiara nas uczy, że Pan Bóg jest to Istota Najdoskonalsza. Skoro tak jest, to musi posiadać wszystkie przymioty swych stworzeń. Jakżeż więc Pan Bóg, jako Istota duchowa, nadzmysłowa, może posiadać takie przymioty, jak: widzenie, słyszenie i t. p., których wykonywanie zależy od narządów ciała?

Odp. Doskonałym nazywamy taki byt, któremu nie brak nic, co należy do pełności jego natury (Suma teol. ś-go Tomasza z Akw. cz. I, kw. 4, a. I). Każdy więc byt w swej istocie może być doskonałym, byle miał wszystko, czego wymaga jego natura.

---

*) „Przybliżajmy się zatem z wiarą i ufnoscią ku Siedlisku i tronowi łaski, abyśmy dostąpili miłosierdzia i znalezli łaskę w pomocy skutecznej". Żyd. 4:16.

**) Zbliżajmy się z sercem prawdziwem w całkowitości wiary omywszy serca ze złego sumienia i opłukawszy ciało wodą czystości i trzymajmy się mocno wymawiania nieodmiennego nadziei naszej, gdyż wiernym jest ten który nam dał obietnicę. Żyd. 10:22—23

***) I. Cor. I. 2.

Jest jednak cała hierarchja tych natur, t. zw. „hierarchja ontologiczna bytów", z których jedna w stosunku do innych jest doskonalszą lub mniej doskonałą.

Są więc byty, o których możemy powiedzieć tylko tyle, że istnieja, jak np. kamienie; inne istnieją i żyją, bo się poruszają — jak rośliny, choć ruch ich jest bardzo zlokalizowany; zwierzęta istnieją, żyją i czują; człowiek — istnieje, żyje, czuje i rozumie; anioł również, jak człowiek istnieje i żyje, ale nie czuje (nie potrzebuje, bo nie ma ciała) i nie rozumie, a właściwie nie rozumuje, t. j. nie przechodzi z racji do wniosku, ale pojmuje, to znaczy chwyta prawdę bezpośrednio, bez dowodzenia.

Te wszystkie byty są doskonałe w granicach swoich natur, a jedne od drugich doskonalsze, im bardziej ich natury są bogatsze.

Wszystkie one jednak całą swoją doskonałość i całą swoją naturę, jako byty wtórne, pochodne, mają od Pierwszej Przyczyny, od Najwyższego Bytu, który ma istnienie własne od siebie samego, t. j. od Boga.

A że nikt nie może dać tego, czegoby nie posiadał, według tej prostej zresztą zasady filozoficznej: „nemo dat, quod non habet", Bóg, jako Źródło Pierwsze i twórcze tych doskonałości, ma je wszystkie w sobie, to znaczy, jest Istotą Najdoskonalszą.

W różny jednak sposób te doskonałości są w stworzeniach i w Stwórcy, t. j. w Bogu.

Naprzód w stworzeniach są one zależne i pochodne — w Bogu zaś samoistne i niezależne.

A następnie w stworzeniach są połączone z wielu niedoskonałościami — np. podana kwestja wzroku i słuchu w człowieku, złączona z organami zmysłowemi i bardzo kruchemi — w Bogu bez żadnych ograniczeń, ani kruchości i niestałości. W stworzeniach — jak mówi teologja — są te doskonałości w sposób formalny (formaliter) — w Bogu w sposób wywyższony (eminenter).

Pisał już o tem starożytny filozof grecki Arystoteles (De coelo, l. II, text. 66) i św. Tomasz z Akwinu (Summa theol. p. I, q. 77, a. 2) na przykładzie zdrowia, podając, że najniżej pod tym względem stoi ten, który nie może w żaden sposób dojść do zdrowia doskonałego, lepiej już jest z tym, który przy

użyciu nielicznych środków, jakiemi rozporządza, może dojść do pewnego zdrowia, choć jeszcze bardzo chwiejnego; jeszcze lepiej, jeżeli przy użyciu wielu środków może uzyskać zdrowie doskonałe; jeszcze lepiej, jeżeli do doskonałego zdrowia ktoś może dojść za pomocą niewielu środków; najlepiej zaś—jeżeli bez żadnych środków cieszy się zdrowiem doskonałem, jest „samem zdrowiem", jak zwykliśmy mówić w takich razach.

Otóż Pan Bóg ma to „samo zdrowie", wszystkie doskonałości razem wzięte, nie potrzebując się uciekać do żadnych środków, ani narządów i zmysłów, jak stworzenia i wszystko w Nim jest, cokolwiek jest doskonałego w stworzeniach, ale „eminentiori modo", w sposób nieskończenie wznioślejszy, bez śladu ograniczeń jakichkolwiek i zależności.

Taki jest ogólny stosunek doskonałości boskich do doskonałości stworzeń.

Inne jeszcze zachodzą racje specjalne w kwestji poruszonej w pytaniu — Pan Bóg rzeczywiście widzi i słyszy i to w sposób nieskończenie doskonały, wszystko widzi i wszystko słyszy i bez żadnego błędu, nie potrzebuje jednak do tego ani uszu, ani oczów ludzkich. Wypływa to z natury samych władz widzenia i słyszenia.

Władze te w człowieku (i w Panu Bogu) są częścią ogólnej władzy poznania.

W człowieku, złożonym z ciała i duszy jest ta rzecz dość skomplikowana.

Wszystkie władze w człowieku mają swoje siedlisko w duszy.

Duszą człowiek poznaje. Ale dusza ludzka, zamknięta, jakby w futerale, w ciele, jest przez to ciało oddzielona od świata zewnętrznego i tylko za pomocą ciała może z nim wejść w kontakt i poznawać go odpowiednio.

Do tego służą organa poznawcze. Poznaje człowieka rozumem, którego organem jest mózg. Rozum poznaje istotę rzeczy, wytwarza pojęcie ogólne każdej rzeczy na podstawie konkretnego materjału, którego mu dostarczają niższe władze poznawcze, t. j. zmysły, z których każdy ma swój organ i ulokowany jest w ściśle określonem miejscu ciała ludzkiego.

Zmysły dzielą się na dwie kategorje: zewnętrzne i wewnętrzne. Pięć zmysłów człowieka, zazwyczaj uznawanych za wszystkie ludzkie zmysły, są tylko ich częścią najmniej do-

skonałą: wzrok, słuch, smak, powonienie i dotyk—są to t. zw. zmysły zewnętrzne, które odbierają bezpośrednie i konkretne wrażenia barwy takiej lub innej, tonu, zapachu i t. p. przy zetknięciu się bezpośredniem z przedmiotem poznawanym.

Poszczególne wrażenia wszystkich zmysłów zewnętrznych przekazuje się do dalszej „obróbki“ zmysłom wewnętrznym.

Naprzód więc idą, jak do centrali do t. zw. zmysłu wspólnego (sensus communis), który je segreguje, oddzielając tony od barw i od zapachów, barwę czerwoną np. od żółtej, ton „a" od tonu „d" i t. p.

Z tych wszystkich już odpowiednio posegregowanych wrażeń, następny zmysł wewnętrzny, wyobraźnia, zwana jeszcze u ludzi fantazją, układa cały obraz konktretny, poszczególny danego przedmiotu, lub nawet na podstawie otrzymanych wrażeń od różnych przedmiotów realnych, wvtwarza coś zupełnie nowego, np. maj ic wyobrażenie lodu i pałacu, buduje obrazy pałaców lodowych, złotych lub szklanych gór i t. p., co jest podstawą bajek i legend przepięknych... wszystko to jednak zawsze na podstawie konkretnych, rzeczywistych wrażeń lub wyobrażeń, tylko odpowiednio ułożonych.

Te wszystkie obrazy przechowuje, jakby na składzie t. zw. pamięć zmysłowa — trzeci zmysł wewnętrzny — i może je z tej składnicy wydobyć później, odt varzając przeżyte już raz kiedyś sytuacje.

Wreszcie zmysł oceniający (sensus aestimativus) albo t. zw. „rozumek" (ratio particularis), który jest podstawą instynktu, wydaje pewien automatyczny sąd o pożytku lub szkodliwości danej rzeczy. Nie jest to jeszcze rozum, bo działa automatycznie, bez rozważania uprzednich przesłanek, ale już znać bliskie sąsiedztwo rozumu, gdyż świta już tam najogólniejszy sąd o rzeczy i dlatego nazywają ten zmysł czasami „ratio particularis".

Te wszystkie zmysły posiadają również i zwierzęta, ale dalej już nie idą.

Dzisiaj psychologja eksperymentalna wykryła tych zmysłów wewnętrznych bardzo wiele, np. zmysł równowagi, głodu, sytości, temperatury i t. p. i wykrywa ich coraz więcej. Ale w procesie poznawczym człowieka rolę główną odgrywają tylko powyżej opisane pięć zmysłów zewnętrznych i cztery zmysły wewnętrzne, zlokalizowane w różnych częściach mózgu.

Tak już oszlifowany i przerobiony materjał oddany zostaje intellektowi człowieka, który znowu dzieli sią na t. zw. intellekt czynny i intellekt bierny.

Intellekt czynny chwyta obraz rzeczy, przejmując go od zmysłów wewnętrznych i błyskawicznie zdziera z niego wszystkie cechy konkretne, dochodząc do istoty rzeczy (to, czem rzecz jest) i wytwarza pojęcie ogólne np. człowieka, stołu, drzewa wogóle i t. p.

Nazywa się czynnym, gdyż przetwarza obraz na pojęcie rzeczy.

To pojęcie przekazuje dalej intellektowi biernemu, który je tylko przyjmuje, zatwierdza, umieszcza na składzie w pamięci intellektualnej (w odróżnieniu od pamięci zmysłowej, przechowującej obraz rzeczy), czyni zeń t. zw. „verbum mentale" słowo umysłowe, a nazewnątrz, za pomocą organu mowy, języka, wypowiada je słowem zewnętrznem, które znowu zostaje podchwycone przez organ słuchu drugiego rozumnego stworzenia, przekazane w ten sam sposób intellektowi słuchacza, który znowu nam odpowie i t. d.

Tak się odbywa poznawanie świata zewnętrznego przez duszę człowieka i wymienia myśli dwuch żyjących jeszcze na ziemi ludzi.

Oczywiście, wszystko to odbywa się z błyskawiczną szybkością, ale niemniej jest bardzo skomplikowane, a to dlatego, że poznająca dusza, jak już wspominałem, jest oddzielona od świata zewnętrznego i od innych dusz, swoją powłoką cielesną i ciałami innych ludzi.

W Bogu zaś (i w Aniołach) tej komplikacji niema. Bóg, jako duch czysty, ciała nie posiada i poznaje wszystko bezpośrednio nie uciekając się do pomocy żadnych organów zmysłowych i poznaje doskonale, bez żadnego błędu, bo niezależnie od stanu fizycznego organów poznawczych, których nie posiada i poznaje, a więc widzi i słyszy wszystko, bo jako duch nieskończony, nieograniczony żadną przestrzenią, jest wszędzie i zawsze bezpośrednio ze wszystkiem się styka.

Trudno jest sobie to wyobrazić, bo Bóg nie jest bytem materjalnym, konkretnym, ale rozum te rzeczy może wyjaśnić zawsze.

Amicus.

BOHATEROWIE WIARY.

Ś-ty Jan Marja Vianney, Proboszcz z Ars.

4 sierpnia.

Głośnem było bardzo to imię lat temu ośmdziesiąt... A był to tylko proboszcz w zapadłem miasteczku środkowej Francji, prosty, nieuczony, bez żadnych dyplomów, owszem, zachwiany kiedyś w czasie studjów seminaryjskich z powodu wybitnych niezdolności do nauki, człowiek, który nie napisał nigdy ani jednej małej książeczki, ani jednego artykułu, nie był nigdy prałatem, nie otrzymał żadnego odznaczenia, poza... Legją Honorową, której dzisiaj jest Patronem, nie olśnił nigdy nikogo talentem towarzyskim, dowcipem, ani znakomitością rodu, ani artystycznym luksusem swych apartamentów... niczem absolutnie, z tego, co tak wielkie wrażenie sprawia na łaknącym wzruszeń tłumie, ale, — był w nim Duch Boży i bohaterstwo pracy i poświęcenia i wielkie miłosierdzie dla ludzkiej ułomności.

To wzruszyło świat do głębi i sprowadziło do jego ubogiego kościółka setki tysięcy ludzi, aż z dalekiej Ameryki, nie mówiąc o „starym świecie".

Jan Marja Vianney był synem ubogich wieśniaków z wioski Dardilly niedaleko Ljonu. Za młodu pasał owce i krowy swego ojca i, otoczony żywą naturą, czytał w niej Objawienie Naturalne o dobrym i pełnym jasności Bogu—Miłości. Później uczył się, ale szło mu to bardzo opornie. Wstąpił do seminarjum duchownego. Z nauką było coraz gorzej, tak, że w końcu, mimo wielkich zalet duszy, miał być, z powodu absolutnego braku zdolności, niedopuszczony do święceń kapłańskich. Kazano mu wreszcie na egzaminie — jak opowiadają — odmówić różaniec, bo już zwątpiono zupełnie o jego kwalifikacjach naukowych. I... to zadecydowało o jego losie, bo nigdy jeszcze czcigodni egzaminatorowie nie widzieli człowieka, z taką wiarą, prostotą i promiennem umiłowaniem, modlącego się do swej Opiekunki, którą kochał całem sercem.

Został prostym wikarjuszem w Ecully, a później jeszcze prostszym proboszczem w Ars, gdzie spędził cały swój żywot pracowity.

Był to okres porewolucyjny we Francji, ciągłych zmian rządów i panujących, „wiosny ludów" i budzącego się fanatycznego nacjonalizmu, a jednocześnie podziemnej i jawnej walki z Kościołem i wielkiego upadku moralnego francuskiego społeczeństwa.

Parafja w Ars i wszystkie parafje okoliczne nie stanowiły pod tym względem wyjątku. Ruina była kompletna. Młody probosz, niepokaźny, nieogładzony, nieuczony i bez szampańskiego humoru, nie mógł stanowić przyjemnej kompanji, ani pociągnąć czemkolwiek do siebie.

Ale... pociągnął, — i tak mocno, tak decydująco, że Ars w krótkim czasie stało się jakby centrum życia katolickiego świata.

Duch jego był takim potężnym magnesem, a głębia ofiary okupem za te wszystkie dusze. Rozpoczął pracę u stóp ołtarza, w żarliwej modlitwie wypraszając sobie u Boga każdą duszę osobno i składając na każdy dzień w pokutnej ofierze zadośćuczynienie za nie. To też później każde jego słowo, każde wejrzenie, obciążone jakby wymodloną i okupioną łaską, zapadało aż na dno duszy każdej i tam działało cuda.

Trudno jest przeciętnemu człowiekowi być dosłownym naśladowcą jego sposobu życia. Było to powołanie wyjątkowe, które nieczęsto się zdarza. Były też i nadzwyczajne objawy łask mistycznych, daru proroctw i rozeznawania sumień — ale to nie była jego świętość istotna, ale specjalny i bardzo odpowiedzialny dar Boży, którego mu zazdrościć nie trzeba. Były i mniej przyjemne i umilające życie napaści wprost okrutne nieprzyjaciela dusz, szatana, które go śmiertelnie przerażały popoczątkowo, mimo wielkiej wiary i uduchowienia, dopóki się z tem nie oswoił, jak ze zwyczajną, codzienną rzeczą, nazywając swego djablika pieszczącem słowem „mon gamin", „mój łobuz".

Tych rzeczy nie należy brać nigdy pod uwagę, bo to nie były zasadnicze sprawy jego życia.

Za podstawę swej działalności wziął Vianney normalne i najprostsze środki, jakie podaje Kościół w swych metodach duszpasterskich: nauczanie, sakramenta święte i organizacje parafjalne.

Nauczanie z ambony we własnym kościele, przy każdej sposobności w domach prywatnych i sąsiedztwie na misjach parafjalnych, które przeprowadzał z całem zaparciem w dalekim promieniu. Nauczanie proste, bez żadnej nienaturalnej kwiecistości, ale — jak wspomniałem — obciążone łaską bożą i przenikające duszę nawskroś, bo pełne umiłowania prawdy i umiłowania dusz.

Sakramenta święte, a zwłaszcza komunja święta częsta i spowiedź, której poświęcał w ostatnich latach siedmnaście godzin każdego dnia. To był jego stos ofiarny i jego triumf.

Organizacje parafalne, religijne bractwa i dzieła charytatywne, oparte na jego dziecięcej, wprost, po ludzku mówiąc, niedorzecznej, bezgranicznej ufności w Opatrzność Bożą, która go nigdy nie zawiodła.

Ale wszystko wymodlone, wszystko wymodlone i okupione ofiarą własną, codzienną, bohaterstwem pracy przeszło dwudziestogodzinnej na dobę, a przez lata całe nieprzerwane, bez urlopów, bez wyjazdów na kurację i odpoczynek...

Był to prawdziwy cud łaski i siły woli prawdziwego „Viri Dei“ męża Bożego, Chrystusowego kapłana, który wypełniał swoje powołanie bez obliczania, bez oglądania się wstecz lub na stronę, bez najmniejszej chwili wahania.

I tak przez długie lata, aż do ostatniego dnia, a raczej pierwszego dnia spoczynku i radości w Panu, dnia 4 sierpnia r. 1859.

Pius X, ten prawdziwy „Proboszcz świata całego” kanonizował go uroczyście, uważając go wraz z Joanną d'Arc, za najwybitniejsze typy świętych, nawskroś nadprzyrodzone, jako wzory dla zmaterjalizowanego i zmechanizowanego XX wieku.

I jak się to stało, że ten „ostatni nieuk“, w wieku elektryczności i pary, narówni z wielkimi wodzami i działaczami wśród narodów całego świata, „poruszył z posad ziemię“ i rzucił ją pod stopy Krzyża?

Odpowiedź łatwa, gdy się zrozumie całą głębię jego duszy kapłańskiej...

Vianney był kapłanem, powołanym prawdziwie przez Boga, któremu Bóg oddał w ręce większe o wiele moce, niż piorunne iskry elektryczne i ciśnienie pary — bo łaskę nadnaturalną.

A on umiał po mistrzowsku stać się jej dobrym przewodnikiem, wyzbywszy się wszystkiego absolutnie, co w nim mogło być własnego i oddawszy się niepodzielnie i bezapelacyjnie swej świętej misji. Z powołania kapłańskiego, którego był świadom, wyciągnął i wypełnił ostatnie konsekwencje.

Jak można było przez lat tyle nieprzerwanych żyć jak męczennik pracy, utrudzenia i ofiary, prawie bez snu i pożywienia, bo na to nie stało czasu, zrywać się przed świtaniem na każdy dzień ze swego tapczanu, mimo iż całe ciało ciążyło strasznie ku spoczynkowi, gdy nogi się chwiały z wyczerpania i serce ustawało w piersiach... jak można było trwać wśród tłumów przez dwadzieścia godzin na dobę i z anielską cierpliwością słuchać jego skarg i żalów i rany jego leczyć i duszę umacniać... jak można było przedewszystkiem nie oszaleć z rozpaczy lub z nerwowego wyczerpania, będąc pogrążonym stale w odmęcie ludzkiego brudu i tragedji i bólów, wypowiadanych spazmatycznie w ukryciu konfesjonału, o czem żaden psycholog ani sędzia, ani najbardziej sensacyjny romanso-pisarz pojęcia mieć nigdy nie będzie, bo powieściowe tragedje robione na efekt, są jakoby ogień malowany w stosunku do rzeczywistego groźnego pożaru, w porównaniu z tragedjami duszy, gdy się je odkryje tak w szczerości i rzeczywistości okrutnej w tajemnicy spowiedzi...

Niech o tem powiedzą starzy spowiednicy.. ile razy dusza aż schnie z przerażenia, słysząc szeptane słowa, w których się odbija cała niedająca się opisać groza moralnych upadków, krzywd, zbrodni... i nieskończonego miłosierdzia dobrego Boga...

Jak mógł ten człowiek, mimo to wszystko, trwać na stanowisku niezachwianie i wychodzić codziennie jednakowo do tych tłumów, z uśmiechem na ustach, w którym się odbijało wszystko miłosierdzie Boga, z ogniem w oczach, szukających pod tchnieniem łaski najbardziej potrzebującej duszy i ze słowem cichem, zaledwie dosłyszalnem z osłabienia i wyczerpania fizycznego, ale przenikającem nawskroś, — bo gdy mówił: „kochajcie Boga" — padały ostatnie zapory złej woli i dusze kładły się pokotem na ziemi, jak łany zbożowe, dojrzałe już, które uchwyciła kosa żniwiarki...

Entuzjazm, suggestja, autosuggestja, hypnoza, medjumizm, — może kto powie...

Ach, jakby w tem miejscu należało parsknąć głośno ze śmiechu, mimo całej powagi refleksji.

Nie, biedny człowieku epoki spirytyzmu, nie hypnoza, ani suggestja — ale łaska boża ich zwalała na ziemię w głębokiej skrusze serca i w akcie oddania się niepodzielnego Bogu, bo nie ustało to działanie, gdy już ów „czarodziej“ i „medjum“ nie patrzył na nich swemi płomiennemi, zda się nie z tego świata, oczami, ale następował zwrot całkowity w życiu tych ludzi i trwał do ich błogosławionej śmierci...

Co znaczy marna suggestja, łachmam, na strzępy porwany, wpływów na wolę obcą, wobec tej granitowej mocy i nieznającej oporu potęgi łaski. A łaska szła, płynęła szerokiem korytem przez tego Wybrańca Bożego, prawdziwego apostoła-kapłana, który jej się oddał niepodzielnie.

Vianney w pierwszym zaraz momencie swego powołania zrozumiał, czem jest kapłaństwo, jakim jest Bóg i czem jest wieczność przejasna, nieskończona z tym Bogiem-Słońcem i czem jest dusza ludzka nieśmiertelna, tak wielka, tak cenna, a tak biedna i nieszczęśliwa.

Modlitwa i kontemplacja rozwinęły i umocniły w nim te pierwsze pojęcia, a łaska otworzyła naoścież oczy jego duszy.— Ujrzał, zrozumiał i — poszedł, a raczej rzucił się na oślep przed siebie w wir pracy apostolskiej, z okrzykiem „Charitas Christi urget nos!” — „Miłość Chrystusowa przynagla nas!” — z jedyną ideą życia: umrzeć choćby z pracy i trudu, nie z choroby, nie w wypadku nieszczęśliwym, ale z pracy i utrudzenia dla tego dobrego Boga, dla tych biednych, skołatanych dusz, dla jasnej, promiennej wieczności.

To była tajemnica tej niespożytej siły ducha Vianney'a, która podnosiła na nogi zemdlone już nieraz ciało, która jak w uścisku mocarnym trzymała jego nerwy zawsze spokojne mimo łomotu gromów, które padały naokół ze zbielałych warg korzących się przed majestatem i dobrocią Boga zbrodniarzy i złoczyńców, bluźnierców i świętokradzców — która podtrzymała zawsze niegasnący uśmiech na zastygłej od bólu i od zachwytu, zoranej zmarszkami twarzy utrudzonego śmiertelnie pracownika...

Gdy Vianney w swej kontemplacji przekreślił raz na zawsze wszelkie cele doczesne dla siebie, jasnem się stało dla

każdego, iż nie zatrzyma się w biegu swoim, aż u bram nieba, by tam wyzionąć zmęczonego do ostatnich granic ducha...

Co może z człowiekiem słabym uczynić wszechpotężna łaska! i jak go z marnego prochu przeobrazić w olbrzyma idei, tytana pracy i bohatera poświęcenia i ofiary bezgranicznej.

Jeden taki proboszcz się znalazł na całe dwadzieścia wieków istnienia Kościoła Chrystusowego!...

Ale ten jeden jest dowodem namacalnym, że nie jest to niemożliwem, ani ze strony łaski, ani ze strony słabego człowieka.

Czyżby On tylko jeden pozostał na zawsze w historji, czyżby nie było ich więcej, czyżby nie było ich już nigdy???

T. P.

Św. Augustyn, Biskup.

28 sierpnia.

To było już dawno, bardzo dawno temu, bo w wieku IV-ym i V-ym ery chrześcijańskiej, ale do dzisiaj jeszcze głos Augustyna słychać, odnawiany ciągłemi wydaniami jego pism, tłomaczeniami na języki nowożytne, w dyskusjach i wykładach uczonych, w dziełach, na jego myśli opartych.

W przeciwstawieniu do Jana Vianney'a był Augustyn prawdziwie niedoścignionym genjuszem nauki, orłem, który na skrzydłach myśli wzbił się w niebotyczne wyżyny tajemnic łaski i wolnej woli człowieka.

W przeciwstawieniu również do Vianney'a stał zawsze na świeczniku, nie ukryty w cieniu prowincjonalnego kościołka i... niezawsze tak czysty i pełen Boga, jak Proboszcz z Ars.

Był poganinem do lat 33 życia, bo ojciec dopiero na łożu śmiertelnem przyjął chrzest święty. To, że stał się uczniem Chrystusowym i wielkim apostołem i filarem Kościoła, jako kapłan i później biskup Hippony w Afryce Północnej, zawdzięcza swej najlepszej, rzec można, po Marji matce, świętej Monice, która swą modlitwą, ofiarą i łzami okupiła go przed Bogiem.

Jako jeszcze uczeń w szkołach Kartagińskich zabłysnął swemi niepospolitemi zdolnościami, wybijając się na czoło towarzyszów. Genjusz filozoficzny nie daje mu spokoju, a szukając wytrwale prawdy, wpada w herezję manichejską, gdzie,

niestety, kala bardzo swoją duszę i z tych więzów przez długie lata wyrwać się nie może.

Jako słynny retor później w Medjolanie porywa słuchaczów pięknem swej wymowy i druzgocze przeciwników mocą własnych argumentów.

Matka szła za nim i z nim ciągle, przeciwko nadziei nadzieję mając zawsze, że Bóg kiedyś weźmie dla Siebie wyłącznie tę duszę tak piękną i bogatą, ale zbłąkaną i uwikłaną w sieci błędu i zmysłowości.

A był wtedy w Medjolanie mąż, godny Augustyna, Ambroży, który z poganina, jak on, stał się biskupem swego miasta i hetmanem prawdziwym narodu.

Augustyn uczęszcza na jego głębokie nauki — I łaska okupiona ofiarą matki, działa nieustannie, aż przyszedł moment, gdy, jak łuski z oczu, odpadły z serca jego wszelkie wątpliwości i prawda wieczna stanęła przed nim w całej swej głębi i krasie.

„O, Prawdo! — będzie mówił kiedyś ze skruchą Augustyn — Biskup — O miłości!.. czemuż cię tak późno poznałem"!

To było prawdziwym gromem, rozbijającym wszystkie pęta jego duszy... Przejrzał.. zrozumiał — i poszedł, nie zatrzymując się już aż do końca życia.

Przyjmuje chrzest, gorzko opłakując swe błędy i ułomności ludzkie, wraca do rodzinnej Afryki, zostaje kapłanem, później biskupem i jako biskup i wódz swego miasta, umiera na posterunku w czasie oblężenia przez wrogich Wandalów.

Wielkim jest Augustyn w swoich dziełach uczonych, pierwszym, który naukę Chrystusa przyoblekł w szatę filozofji, największym nauczycielem Kościoła po Tomaszu z Akwinu, który później z niego będzie czerpał, uzupełniając go i przewyższając mistrza — ale to nie jest jego najwyższą chwałą.

Wielkim jest przedewszystkiem i tak bardzo nam bliskim swem pełnem człowieczeństwem i wzorem dla nas swą dobrą choc początkowo słabą wolą, w szukaniu za wszelką cenę prawdy.

Błądził, jak człowiek, tem bardziej się wikłając, że były to błędy genjalne, ale dobra wola jego była zawsze nicią, łączącą go z Bogiem i pomostem, po którym wreszcie dotarł do prawdy i świętości.

Co za temperament bujny! Co za bogata natura ludzka! Wszystko w nim wre, kipi, błyska wszystkiemi odmianami barw i tonów. Cała burza uczuć wypełnia ciągle jego duszę, przelewa się w słowach, w płomiennych mowach i pismach. Jest w nim ten wir i piorunne gromy i pełne nieposkromionej, druzgocącej mocy bałwany oceanu aż do końca w jego najgłębszych dziełach — a gdy w swych „Wyznaniach" szczerych i pokornych odkrywa z całą prostotą i głębią swą duszę — i tam wszędzie, obok dziecięcej wprost skargi i skruchy serdecznej, słychać zawsze jakoby ryk lwa, króla pustyni, z rozwianą grzywą patrzącego swym władczym wzrokiem wdal, przed siebie i jakoby poszum orlich skrzydeł, szybujących ponad najwyższemi szczytami gór hen, ku słońcu, któreby chciał dźwignąć w swym locie i sam się w niem spalić i jego żarem rozognić wszystko dokoła.

Majestat i głębia, obok prostoty i pokory dziecięcej, cichość duszy obok tych porywów mocy wewnętrznych, żal i skrucha obok wielkiej ufności, lawina obok cicho szemrzącego strumyka— to cały Augustyn i człowiek pełny, a prawy, bo z wolą zawsze dobrą, bez cienia fałszu i obłudy — święty bo pełen.

T. P.

Barbara Lonżanka.

Na drodze do beatyfikacji.

Kiedy pierwsi rodzice nasi przekroczyli zakaz Boży i dopuścili się pierwszego grzechu, dusza ludzka utraciła łaskę obcowania po śmierci na łonie Boga, utraciła wstęp do nieba. By skarb utracony odzyskać mogła ona na nowo, potrzeba było ofiary Syna Bożego. Przez okropne boleści odkupił Zbawiciel ludzkość, cierpienie także wskazał wyznawcom Swej Boskiej nauki, jako klucz do uświętobliwienia się, oraz zapewnienia sobie szczęśliwej wieczności, bo, jak w drugim liście swoim do Koryntjan powiada wielki apostoł narodów, św. Paweł, tylko przez uczestnictwo w boleściach Chrystusa będziemy uczestnikami chwały Jego w niebie. Cierpienie wespół z Odkupicielem obowiązuje wszystkich nas. Boski Mistrz nie uznaje w tym względzie żadnych absolutnie wyjątków. „Kto miłuje ojca lub

matkę więcej, niż mnie,—rzekł kiedyś Pan do uczniów swych—nie jest mnie godzien; a kto miłuje syna lub córkę więcej, niż mnie, nie jest mnie godzien. Kto też nie bierze krzyża swego i nie idzie za mną, nie jest mnie godzien". Rozkaz Jezusowy jest kategoryczny i wyklucza najmniejsze nawet kompromisy, czyż wszakże stosujemy się doń, chociaż mamy pretensję do miana katolików prawdziwych, nie z nazwy jedynie? Czyż niesiemy z ochotą krzyż cierpień? Mało, niestety, znaleźć można takich wśród nas, a tymczasem przecie musimy być takimi wszyscy. Stan dotychczasowy powinien ulec zmianie jaknajprędzej, trzeba nam ukochać krzyż szczerze, serdecznie, gdyż on właśnie, wedle słów ks. Karola Antoniewicza, Jezuity, „jest lekarstwem na uzdrowienie chorób duszy naszej", ponieważ stamtąd oto „strumień pociechy w duszę... spłynie". Narazie zrealizowanie tego wydać się nam może czemś nadzwyczaj ciężkiem, czemś trudnem ogromnie, celem przeto ułatwienia sobie wprowadzenia tego w życie, trzeba zwrócić oczy na świetlane postacie świętych Pańskich, jak np. na św. Teresę od Jezusa, Karmelitankę Bosą, św. Jana od Krzyża również Karmelitę Bosego, dla którego ideałem było „cierpieć i być wzgardzonym", jak np. na św. Franciszka Ksawerego, Jezuitę, oraz tylu, tylu innych wybrańców Bożych, bądź kanonizowanych, czy beatyfikowanych, bądź dopiero będących kandydatami do wyniesienia na ołtarze. My, Polacy, iść powinniśmy zwłaszcza w ślady Barbary Lonżanki, należącej do grona tych ziomków naszych, co w przyszłości, gdy Stwórca życzyć sobie będzie tego, staną na świeczniku Kościoła katolickiego.

Pobożna ta Polka żyła w wieku szesnastym, kiedy to cnotami jaśniało wielu pobożnych mężów i niewiast i w kwitnącym stanie znajdowały się liczne klasztory. Urodzona w Krakowie w 1567 r., była córką Jana Longi, zamożnego mieszczanina krakowskiego i Barbary z Konradów. Ojciec jej nie był katolikiem, przeszedł bowiem na wyznanie protestanckie, matka zaś była katoliczką gorliwą i osobą wielce bogobojną.

Mała córeczka państwa Longów ochrzczona została niebawem po przyjściu na świat. Ceremonji tej dokonał kapłan katolicki, nadając dziecięciu na życzenie matki imię Barbara. Pod troskliwem okiem matki dziewczynka wzrastała nietylko w lata, ale i w cnoty, okazując do nich skłonność ogromną.

Dzięki troskliwemu wychowaniu zło nie pociągało jej wcale, mając w duszy wszczepione poczucie odrazy do grzechu, unikała go ona za wszelką cenę.

Skoro skończyła lat siedem rodzice oddali ją na naukę krawieczyzny do pewnej szwaczki. Ta ostatnia nie była snać niewiastą zbyt dobrą, bo oto razu pewnego w przystępie złości pchnęła Barbarę tak mocno, że nieszczęśliwe dziewczę uległo zmiażdzeniu pięty. Nie chcąc robić kłopotu tak ojcu, jak matce, Barbara nie rzekła im o wypadku owym nic, w duszy jej zaś obudziło się wówczas jakieś nieznane dotąd pragnienie cierpienia wespół ze Zbawicielem. W milczeniu z poddaniem się woli Bożej znosiła mała dziewczynka boleści, które powiększał jeszcze ten fakt, iż stłuczeniu nogi na skutek przeróżnych okoliczności uległa aż pięć razy. Ostatecznie doszło do tego, że okulała. Teraz dopiero rodzice dowiedzieli się o wszystkiem. Pragnąc córkę swą wyleczyć z kalectwa, poczęli wzywać przeróżnych doktorów, którzy jednak tylko zwiększali męczarnie Barbary. Ówczesna medycyna nie znała środków znieczulających, nogę więc krajano dziewczynce bez żadnego uśpienia, w takim samym stanie przypiekano ją rozpalonem żelazem, okładano gryzącemi i wywołującemi mocne podrażnienia rany plastrami oraz maściami, chora wszakże z wielkim podziwem wszystkich obecnych nie skarżyła się ani trochę, mocy natomiast dodawała jej myśl, że cierpienie, zniesione ochotnie z miłości ku Ukrzyżowanemu, bez nagrody nie pozostanie. Przez cztery lata wydawali państwo Longowie wielkie sumy na wyleczenie Barbary i czyniliby to znacznie dłużej, córka ich wszakże oświadczyła im: „Nie traćcie darmo na lekarzy i leki, bo mi lekarstwa, od nich dane, nie pomagają, ale bardziej szkodzą. Znać, że mię Bóg chce mieć w świeckim stanie i nie chce. Chce tem samem, że mię do zakonu nie powołał, nie chce, bo mi nogi odjął, a w tym oto kąciku mnie zamknąwszy, jak w klasztorku dalej wychodzić nie dopuści”.

Pogodziła się Barbara z przykrym nad wyraz swym losem, w krzyżu Jezusowym, podobnie, jak św. Lidwina, znalazła ukojenie, a zakosztowawszy go raz, zapragnęła czerpać z tej skarbnicy nadal. Po dojściu do lat czternastu niedość już było jej znosić z ochotą cierpienia, jakie zesłał na nią Bóg, lecz uczuła jeszcze potrzebę zadawania sobie cierpień dobrowolnych

w postaci umartwień i postów. Świat za mało docenia wartość tych pokut, nie zna ich wartości zupełnie, pobożna córka państwa Longów jednak wiedziała doskonale, iż nic tak nie przyczynia się do podnoszenia ducha, jak to właśnie. Pokryjomu przed domownikami nie jadała mięsa, sypiała zwykle na twardem posłaniu, nierzadko po kika godzin leżała krzyżem na ziemi, a w piątki starała się albo nic nie jeść albo też posilać się jeno kawałkiem suchego chleba oraz trochą wody.

Umartwiając swoje ciało łatwiej unosiła się myślą ku Bogu, łatwiej jej było modlić się do Stwórcy, gdyż doczesność nie pochłaniała jej uwagi. Modliła się Barbara codziennie przez długie chwile, co dnia, wstawszy nieco raniej, obecna była na jutrzni w krakowskim kościele Najświętszej Marji Panny, nadto zaś co jakiś czas wśród pracy wznosiła modły na chwałę Bożą. Podczas modlitwy była ubrana bardzo ubogo. Kiedyś matka ubrała ją bogato i wytwornie, głowę jej przyozdobiła perłami i klejnotami, stosownie do ówczesnej mody, gdy wszakże Barbara weszła do świątyni i spojrzała na wizerunek Chrystusa Pana na krzyżu, zawstydziła się ogromnie, bo zrozumiała, że kościół—to nie jakieś miejsce, gdzieby można było pokazywać ludziom swe stroje, ale miejsce święte, miejsce modlitwy. Niewiele namyślając się zdjęła z siebie ozdoby kosztowne i tak dopiero weszła do domu Bożego.

Zbawiciel nie pozostawił poświęcenia Barbary bez nagrody, bo jeszcze za życia obdarzył ją licznemi łaskami duchowemi, a ponadto dał jej dar czynienia cudów. Jak mówi o. Florjan Jaroszewicz, Reformata, „różnym chorym, już opuszczonym od lekarzów i niepodobnym do życia upraszała zdrowie, ślepym wzrok pożądany, rozpaczającym uwolnienie od pokusy. Wielom duchem prorockim przyszłe rzeczy przepowiadała i skutek to pokazał. Prosząc gorąco Pana Boga za króla Zygmunta III podczas rokoszu, miała objawienie, że król zwycięży; podobnie prorokowała o sławnem zwycięstwie pod Chocimem".

Wogóle całe życie jej było jednem wielkiem, nieprzerwanem pasmem cierpień. Z powodu kalectwa i ciągłych chorób nie mogła wreszcie wychodzić z domu swojego, a przez to uczestniczyć w Niekrwawej Ofierze, rychło wszakże biskup krakowski, znający jej świętobliwe życie, udzielił jej zezwolenia swego na urządzenie w mieszkaniu kaplicy, gdzie pozwolił od-

prawiać Mszę św., oraz udzielać Barbarze Komunji św. W 1620 r. pobożna ta dziewica zapadła tak ciężko na zdrowiu, że nie mogła podnieść się zupełnie z łoża boleści. Wielkie bóle i mdłości nawiedzały ją ustawicznie, cierpiała wszakże bez szemrania, rozmyślając Mękę Pańską. „Jakoż i od wielorakiego umartwienia—brzmią słowa jednego ze staropolskich hagjografów — i od długiej choroby wysuszona, Sakramentami św. opatrzona, oczy i serce ku niebieskiej ojczyźnie wznosząc, bez żadnego strachu lekusieńkiem skonaniem ducha swego Bogu oddała r. P. 1621, przeżywszy lat wieku swego 54. Do zmarłego Barbary ciała zbiegali się ludzie z wielkiem nabożeństwem, a niektórzy osobliwsze łaski otrzymali... Na pogrzeb jej wysypał się cały Kraków i pogrzebiona jest w kościele św. Barbary (należącym do o.o. Jezuitów), przy ołtarzu wielkim, a dotąd opinja pobożna o świętobliwości tej sługi Boskiej nie ustaje”. Z biegiem czasu obok kaplicy Matki Boskiej w tejże świątyni zawieszono portret jej w całej postawie.

O ile chodzi o biografję Barbary Lonżanki, to pod dniem szesnastym września zamieszcza ją o. Florjan Jaroszewicz, Reformata, w dziele swojem p.t. „Matka świętych, Polska”. W ostatnich czasach krótko wspomniał o tej świętobliwej dziewicy niepodpisany autor notatki p.t. „Kościół św. Barbary w Krakowie”, zamieszczonej w „Kalendarzu Róż św. Teresy od Dzieciątka Jezus na rok Pański 1928” (Kraków, 1927).

Naogół wziąwszy, o czcigodnej tej służebnicy Bożej zapomnieliśmy, nie pamiętamy absolutnie o staraniu się o jej beatyfikację, aczkolwiek są ku temu dane, bo, jak słusznie woła zasłużony w dziedzinie polskiego piśmiennictwa hagjograficznego ks. biskup Władysław Bandurski, „zobojętnieliśmy, straciliśmy moc wiary i ufność w pomoc i wstawiennictwo świętych, w opiekę tych, którzy po tej samej, co my, ziemi chodzili, a jednak umieli stać się świętymi i znaleźć lepsze i trwalsze dziedzictwo, którego nikt im nie zabierze. Czas już zerwać z tą obojętnością! Należałoby nam łączyć życie to biedne i smętne, pełne zawodów i bólów, z życiem tych, którzy w triumfie chwały są bliżsi Ojca niebieskiego”, należałoby prosić ich wstawiennictwa u tronu Bożego, a przez to pracowałoby się nad ich kanonizacją względnie beatyfikacją.

Józef Marjan Chudek.

Swięty Tomasz młodzieniec wzorem młodzieży!

Człowiek, podobnie jak każda istota żyjąca na tym świecie, dąży już ze swej natury do doskonałości.

W człowieku, jak i w całej naturze, są różne okresy życia: okres powstania czyli narodzin, okres wzrastania czyli młodości, okres dojrzałości, wreszcie okres starości, który jest równocześnie czasem przejścia do innego życia.

Z tych wszystkich okresów bezwątpienia najwięcej charakterystycznym jest okres młodości, gdyż jest on czasem, w którym człowiek kładzie podwaliny, fundamenty pod swoje przyszłe życie. Czy weźmiemy życie fizyczne człowieka, czy umysłowe, czy wreszcie moralne, przeważnie zależy ono od młodości. Jeśli w młodości zaniedba się pracy nad swoim rozwojem, w późniejszem życiu to niedbalstwo odbije się nieodwołalnie.

Słusznie powiada nasze przysłowie: „Czego się Jaś nie nauczył, tego się i Jan nie nauczy".

Młodość, to przedewszystkiem okres kształtowania się charakteru człowieka. Gdy dziecko zaczyna żyć po „ludzku", to jest gdy przyjdzie do używania rozumu, jest ono jakoby głazem nieociosanym, chropowatym i pełnym skłonności naturalnych, które ślepo pchają Go bądź to do złego bądź do dobrego.

Gdy jednakże przyjdzie do zupełnego używania rozumu, widzi ono, że nie to jest dobre lub złe, co się podoba lub niepodoba jego skłonnościom, lecz to, co jest zgodne z rozumem i z prawem Bożem. Poznawszy to, stara się swoje życie tak urządzić, tak zawsze postępować, aby nie kierować się swemi kaprysami i zachciankami zależnemi od okoliczności, lecz wskazówkami rozumu i Prawd Bożych.

Ta praca nad sobą, aby żyć i postępować stosownie do godności człowieka, jest właśnie wyrabianiem w sobie charakteru.

Cóż my właściwie nazywamy charakterem?

Co to jest człowiek charakteru?

Człowiekiem charakteru jest ten, który zawsze, stale i energicznie postępuje w życiu moralnem za wskazówkami rozumu i nakazami prawa Bożego, czyli wiary św. Kto tak postępuje, dla kogo wskazówkami jest rozum i prawo Boże, tego życie jest harmonijne, w niem jest pewna jedność, pewien porzą-

dek. Rozum i wiara zawsze wskazują nam, abyśmy postępowali dobrze, stąd to harmonja i jedność. Przeciwnie, gdy nie idziemy za temi wskazówkami tam brak tej jedności, brak harmonji, tam brak charakteru. Tak właśnie się dzieje w życiu występnem, wszelki bowiem grzech jest przeciwny rozumowi. Rozum i wiara mówią nam, że należy zawsze dobrze czynić bez względu czy to nam przypada do gustu, czy to nam sprawia przyjemność lub nie, bez względu czy to jest dla mnie łatwe lub trudne. Kto idzie za temi wskazówkami, które same w sobie są niezmienne, będzie zawsze jednakowo postępował. Zawsze będzie on sprawiedliwym, zawsze powie prawdę, będzie kochał nie tylko tych, od których spodziewa się pewnej korzyści, lecz wszystkich, nie wyłączając wrogów. Słowem urządzi swe życie według nakazów prawa Bożego. U kogo zobaczymy takie postępowanie, powiemy zaraz, że to człowiek charakteru. Lecz, aby zostać człowiekiem charakteru, to wymaga wiele pracy, szczególnie w młodości. Aby młodzieniec mógł wyrość na męża z charakterem, musi on wykształcić w sobie nie tylko umysł, lecz równocześnie i równomiernie do wykształcenia rozumu, musi rozwinąć i udoskonalić to, co my powszechnie nazywamy „sercem", to znaczy nabyć i wyrobić cały zasób cnót moralnych.

Wykształcenie umysłu i serca — oto co stanowi charakter człowieka.

Pracy nad rozwojem swego umysłu poświęca się zwyczajnie całą młodość. Począwszy od abecadła, a skończywszy na ostatnim egzaminie szkół wyższych, czas ten wyłącznie poświęca się pracy nad umysłem. To okres czasu bardzo obszerny stosunkowo do przeciętnego trwania życia ludzkiego, lecz nie jest za wielki, gdyż umysł ludzki nigdy za wiele prawdy nie posiędzie, lecz przeciwnie im więcej jej posiędzie, tem bardziej jej pragnie.

Aby wyrobić w sobie charakter nie wystarczy rozwinąć swój umysł, trzeba nadto wykształcić serce, czyli należy nabyć cnót prawdziwych. W przeciwnym razie człowiek będzie, jak ten posąg do połowy wyrzeźbiony, w którym widać z jednej strony rysy postaci ludzkiej, lecz równocześnie widać tam chropowatości. Samo wykształcenie nie jest jeszcze charakterem, ono nie da nam tej jedności i harmonji w postępowaniu, jakie ce-

chuje ludzi charakteru. Można mieć głębokie wykształcenie umysłu, lecz używać go do złego.

Przeciwnie, gdy w parze z rozwojem umysłu idzie wykształcenie serca, wówczas mamy harmonję, mamy prawdziwe arcydzieło. Podziwiamy np. dzieła sztuki i słusznie. Przyglądając się posągowi (np. „Mojżeszowi" Michała Anioła), który wyszedł z rąk prawdziwego mistrza, jesteśmy zachwyceni jego pięknością. Czemże jednak jest dzieło sztuki ludzkiej, w porównaniu z dziełem, które wyszło z rąk Mistrza nad mistrzami, z rąk Boga!

Takim dziełem jest człowiek. Wprawdzie w tem dziele, wskutek grzechu pierworodnego zaszły pewne zboczenia, lecz pracą własną i przy pomocy Bożej, można to choć częściowo naprawić, można do pewnej równowagi doprowadzić. Praca nad wyrobieniem charakteru, to jest nad udoskonaleniem umysłu i serca, oto sposób przywrócenia w nas tej harmonji.

Człowiek o umyśle rozwiniętym, a przytem o szlachetnem sercu, to znaczy o duszy ozdobionej cnotami, to arcydzieło, z którem nie może się równać żadne dzieło sztuki ludzkiej.

Młodzieniec, o charakterze prawdziwie wyrobionym, to piękność niezwykła, która każdego z ludzi musi ująć. Młodość bowiem już sama w sobie posiada coś pięknego, coś czarującego, co oddziaływa na innych i nieraz u starszych budzi żal i tęsknotę za minioną młodością. Młodość to wiosna życia ludzkiego: podobnie jak wiosna jest najpiękniejszą porą roku, tak i młodość jest najpiękniejszym okresem życia naszego. Jak wiosna tak i młodość jest owiana świeżością i delikatnością, jak na wiosnę natura zbudzona, rozwija się szybko, tak i młodość jest pełna życia, pełna zapału do czynów, a gdzie jest czyn, tam jest radość i nadzieja obfitych owoców.

Jeśli wraz z tym wdziękiem naturalnym, jaki towarzyszy młodości, połączymy wdzięk i piękność duchową, jaką sprawia charakter moralny, to w ileż piękniejszem świetle przedstawi się nam młodzież, o ileż więcej jej urok będzie na nas dodatnio oddziaływał!

Charakter moralny jest właściwie w duszy, gdyż jako zespół wszystkich cnót udoskonala on władze duszy naszej; objawia się zaś nazewnątrz przez czyny, tak, że gdy mówimy o charakterze tej lub owej osoby sądzimy go z czynów, które widzimy. Charakter bowiem, jako zespół wszystkich cnót nabytych i wlanych,

sprawia, że my postępujemy zawsze rozumnie, to jest wedle praw boskich i ludzkich.

Aby mieć prawdziwy charakter musimy posiadać nie tylko cnoty naturalne czyli nabyte własnemi siłami, lecz także cnoty wlane, a więc posiadać łaskę poświęcającą, z którą otrzymujemy te cnoty. Tylko charakter, na który składają się cnoty nadprzyrodzone, jest prawdziwym charakterem, gdyż tylko z takim charakterem możemy dojść do celu ostatecznego. Kto nie jest w stanie łaski poświęcającej, choćby nazewnątrz wydawał się nam cnotliwym, w rzeczywistości takim nie jest, a więc charakteru prawdziwego nie posiada, gdyż przez to samo, że jest w stanie grzechu ciężkiego, nie postępuje rozumnie.

Charakter, powtarzamy jeszcze raz, jest to stałe i energiczne postępowanie według zasad rozumu i wiary. Takie postępowanie zaś wtenczas tylko jest możliwe, jeśli nasz umysł i serce będą ozdobione cnotami, czyli będą równomiernie rozwinięte i uszlachetnione.

Młodość jest czasem wyrobienia charakteru.

Rozwijać umysł, kształcić serce oto sposób nabycia charakteru.

Wzór doskonałego charakteru mamy w św. Tomaszu. On jako młodzieniec posiada już charakter doskonały, którego jednakże nie przestaje kształcić dalej, tak, że charakter jego w młodości nabyty rozwinął się na najpiękniejszy wzór charakteru, jakim jest świętość. Święci to są ci, którzy wykształcili swój charakter do najwyższego stopnia.

U św. Tomasza od zarania młodości, nauka idzie w parze z cnotą. Równolegle z sercem rozwija on umysł.

W bardzo młodym wieku rodzice oddają małego Tomasza do szkół w opactwie na Monte Cassino. Tam pod okiem synów św. Benedykta, Tomasz stawia pierwsze kroki w nabywaniu wiedzy, tam także kładzie pierwsze podwaliny pod przyszły charakter, rozwinięty aż do heroizmu, lub raczej można powiedzieć, że otoczenie Tomasza rzeźbi w nim pierwsze rysy charakteru. Człowiek bowiem w wieku jeszcze dziecięcym, jest jakby wosk, który przybiera bardzo łatwo kształty tych, którzy na niego działają swym przykładem. Otoczenie, to pierwsze czynniki działające na wyrobienie charakteru młodzieży. Najbliższym otoczeniem

jest zwyczajnie rodzina. Jaki jest poziom duchowy w rodzinach, takie z nich wychodzą charaktery.

My nie zdajemy sobie dokładnie sprawy, jak ważną rzeczą w życiu człowieka są pierwsze lata młodości, kiedy dziecko dochodzi do używania rozumu. W tym to okresie dziecko ma zdecydować w jakim kierunku pójdzie jego życie duchowne, ono ma oświadczyć się za Bogiem lub przeciw. Pierwszy bowiem akt rozumu i woli prawdziwie ludzki, jest albo grzechem ciężkim, albo aktem miłości Boga, to jest albo ono od Boga się odwróci, albo do Niego przylgnie całą duszą. W jakim kierunku ono pójdzie, to zależy dużo od wychowania religijnego w rodzinie, od otoczenia i od przykładu dobrego lub złego.

Tomasz najpierw w rodzinie, a później na Monte Cassino znalazł otoczenie prawdziwie chrześcijańskie, które zapewne dodatnio wpłynęło na pierwsze podwaliny jego charakteru.

Widzimy następnie Tomasza, jako ucznia na uniwersytecie w Neapolu. Ten okres jego życia, to pełnia młodości, to wiosna w pełnym rozkwicie.

Tu Tomasz już samodzielnie pracuje nad nabyciem charakteru. Kształci umysł uczęszczając na wykłady w nowo-założonym uniwersytecie. Z całą pilnością oddaje się pracy. On wie, że nauka jest dobrodziejstwem wielkiem, że ona udoskonala człowieka, kształcąc najdoskonalszą władzę, umysł. On wie także, że ta cząstka prawdy, którą tu poznaje jest odbiciem samej Prawdy Wiecznej, której widokiem będziemy się cieszyć kiedyś; dlatego z chciwością i z zapałem oddaje się pracy, nie zniechęcając się żadnemi trudnościami w jej nabywaniu.

Równocześnie z pracą nad umysłem łączy pracę nad uszlachetnieniem serca. Obecnie już sam, samodzielnie i z własnej inicjatywy. Pilny, zapalony do nauki tak jednak urządza sobie czas, aby mógł pamiętać także o swem sercu, o życiu z Bogiem. W tym celu nie pomija okazji ćwiczenia się w cnocie. Aby swe serce uszlachetnić, chwyta się wszystkich możliwych środków i sposobów.

Jego pożycie z kolegami było jak najserdeczniejsze.

Tomasz więcej znajdował przyjemności w pracy, ciągnął do nauki w cichości i do rozmowy z Bogiem więcej niż jego koledzy, mimo to od nich nie stronił, nimi nie pogardzał, lecz, owszem, był zawsze towarzyskim i uprzejmym dla wszystkich, a pierw-

szym był zawsze, gdy chodziło o oddanie usługi koleżeńskiej. Koledzy Tomasza za to cenili, nawet ci, dla których on przez swe życie był wyrzutem sumienia. Tomasz w życiu z kolegami okazał swój charakter, gdyż nie on szedł za nimi, lecz oni za nim. Tomasz choć jeden, nadawał ton w życiu towarzyskiem. Nie poddać się złym przykładom swych kolegów, oprzeć się opinji, a, owszem, nadać jej swój kierunek, to wymaga siły charakteru.

Tomasz-młodzieniec wyrabiając swój charakter nie zapomniał o najważniejszym i najskuteczniejszym środku do jego nabycia, o Eucharystji. Wiemy z jego życiorysu, że młody Tomasz uczęszczał do pobliskiego kościoła Dominikanów i tam przystępował do stołu Pańskiego. Choćbyśmy tylko tyle wiedzieli z jego młodości, toby nam wystarczyło, aby ocenić charakter Tomasza. Pilny uczeń, lecz przytem prawdziwie nabożny. Tomasz karmi swój umysł prawdą czerpaną z wykładów profesorów, lecz równocześnie karmi swą duszę chlebem anielskim.

Cóż może być więcej budującego i pociągającego, jak młodzież przystępująca i garnąca się do Jezusa Eucharystycznego. Prawda, że wszyscy mamy obowiązek karmić się Chlebem Anielskim, lecz młodzieży, najbardziej ten chleb jest potrzebny. Młodzież potrzebuje szczególnych łask i pomocy z nieba. W tym wieku świat zwyczajnie roztacza przed nią cały swój powab zwodniczy, aby pociągnąć młode serca do siebie, a przez to od Boga je odwrócić.

Młodzieniec, jeśli chce zostać wierny ideałowi chrześcijańskiemu, jeśli chce zachować łaskę poświęcającą na chrzcie świętym otrzymaną, musi szukać pomocy wyższej. Najskuteczniejszą zaś pomocą jest Komunja św.

Młodzieniec, który często przyjmuje Jezusa Eucharystycznego, może być pewnym, że nie da się uwieść żadnym uciechom światowym; młodzieniec, w którego sercu gości często Boski Odkupiciel, nie tylko nie będzie szukał zadowolenia w książkach czy przedstawieniach nieodpowiednich, lecz instynktownie od tego będzie się odwracał. W sercu młodzieńca, który często przyjmuje Boga Miłości, nie zagnieździ się nigdy miłość brudna, egoistyczna, lecz przeciwnie Bóg Miłości przychodząc do młodego serca, z natury chcącego coś kochać, sam stanie się pierwszym przedmiotem jego miłości, a równocześnie wszelką zdrową

miłość tam już istniejącą, uszlachetni i wzmocni. Taki młodzieniec będzie naprawdę kochał innych, a nie siebie samego, jak to się dzieje w miłościach czysto naturalnych i zmysłowych.

Tomasz, uczeń na uniwersytecie w Neapolu, u Jezusa Eucharystycznego uczył się kochać innych, jak również kochać prawdę.

Od stołu Pańskiego odchodził zawsze z większą gorliwością, z większym zapałem do nauki. Naodwrót, aby się godniej przygotować na przyjęcie Komunji św., podwajał pilność w nauce. Pobożność Tomasza nie przeszkadzała mu w nauce i spełnianiu swych innych obowiązków dlatego, że była prawdziwą. Powiada Pismo św., że „Pobożność do wszystkiego jest pożyteczna" (Tym. 4,8). Ma się rozumieć pobożność dobrze zrozumiana, pobożność prawdziwa. Bardzo często młodzież ma fałszywe pojęcie o pobożności, i to ją zraża do niej. Jeśli ktoś uważa, że pobożność polega na tem, aby nic nie robić, tylko się modlić, jeśli ktoś jest przekonany, że wystarczy odprawić pewne praktyki pobożne, mało troszcząc się, jak się przedstawia nasz stosunek do bliźniego, do naszych obowiązków stanu, słowem jeśli ktoś pojmuje pobożność jako coś uczuciowego, w czem możnaby tylko szukać swego zadowolenia, to nie można się dziwić, że taki ideał pobożności nie pociągnie, lecz odstraszy niejednego.

W rzeczywistości prawdziwa pobożność jest czemś innem. Ona gotowa każdego pociągnąć, tylko trzeba ją poznać, a równocześnie okazać gotowość pójścia za jej powabem.

Św. Tomasz od najmłodszych lat szukał prawdy, starał się poznać ideał chrześcijańskiej pobożności.

Jeszcze jako młody chłopczyk, przebywając na Monte Cassino, pyta się jednego z mistrzów, co to jest Bóg. Jego umysł był ciekawym, lecz ciekawym prawd głębszych, nie wiadomości i nowinek przemijających. Ta ciekawość rzeczy Bożych, skłaniała go do pracy nad poznaniem Boga i naszego do Niego stosunku. Bez poznania Boga, oraz bez poznania nas samych, nie można mówić o tej cnocie, którą my nazywamy pobożnością, mocą której oddajemy Bogu to, co mu się należy od nas jako jego stworzeń.

Może się nam zdawać, że praca nad kształceniem serca jest bezowocną. Tak nie jest w rzeczywistości. Każdy akt cnoty, choćby najmniejszy, nie idzie na marne. Nie mówiąc już o jego

zasłudze na niebo, już tu na ziemi przynosi owoc. Gdy pracujemy nad kształceniem umysłu, gdy oddajemy się nauce, po pewnym czasie spostrzegamy się, że to co niedawno było dla nas obcem, trudnem, staje się obecnie naszem, że nasz umysł niejako się rozszerza pod wpływem nabytych wiadomości. Coś podobnego dzieje się przez wykonywanie czynów cnotliwych. Powtarzając je przez pewien czas, nabywamy wprawy i łatwości oraz przyjemności w ich wykonywaniu. To, co przedtem było dla nas ciężkiem i wymagało wielkiego wysiłku, staje się jakby naturalnem. Ta łatwość i przyjemność jest oznaką, że nasz charakter się rozwija i umacnia. Z im większą zaś ochotą i miłością czyny wykonujemy, tem szybciej nasz charakter rośnie.

Z biegiem czasu cnoty zakorzeniają się w nas tak silnie, że stajemy do walki z największymi wrogami życia pobożnego odnosimy zwycięstwo.

Słowem przez ciągłe wykonywanie czynów niepokaźnych w sobie, cnoty nasze wzrastają i hartują się, tak że gdy okazja przyjdzie, zdolne są zdobyć się na czyn heroiczny.

Tak było u św. Towasza.

Rodzina nie mogła znieść tego, aby Tomasz, syn rodziny książęcej, przywdział habit zakonny. Ona chciała widzieć Tomasza na wysokim stopniu godności na dworze cesarskim lub papieskim. Szuka więc środków, aby Tomasza odwieść od powziętego i już uskutecznionego zamiaru zostania zakonnikiem. Wreszcie chwyta się środka radykalnego, a przytem bardzo niegodnego rodziny chrześcijańskiej, narażając jego cnotę niewinności.

Była to chwila wielkiej próby dla Tomasza, z której on jednakże wychodzi zwycięsko. Jak to wytłómaczyć po ludzku? skąd Tomasz wziął tyle siły, aby tak wielkiej pokusie nie poddać się?

Jasnem to się stanie dla nas, jeśli przypomnimy sobie, że Tomasz od dłuższego czasu ćwiczył się w cnotach i przez to wzmacniał i powiększał je w sobie, tak że gdy przyszła chwila próby, miał już wielki zasób siły moralnej, aby w walce nie upaść. Zwycięstwo Tomasza było owocem nietylko chwilowej walki, lecz także owocem długiej poprzedniej pracy nad kształceniem serca. Wielkich bowiem czynów nie dokonywuje się w jednej chwili, lecz na nie składa się praca dłuższego czasu, podob-

nie, jak wielki upadek bywa skutkiem długiego poprzedniego niedbalstwa. Tomasz, odpychając w sposób heroiczny zasadzkę na cnotę czystości, okazuje się nam młodzieńcem w pełni charakteru. Wskutek tego zwycięstwa Kościół św. stawia go nam jako szczególnego patrona i jako wzór dla młodzieży. Młodzież wszystka, bez wyjątku, ma w Tomaszu patrona swej cnoty czystości.

Szczególnym zaś i jakoby oficjalnym patronem jest Tomasz dla tej młodzieży, która garnie się pod jego opiekę, przystępując do „Milicji Anielskiej" tak polecanej przez obecnego Ojca św. Piusa XI. „Milicja Anielska", jest stowarzyszeniem, którego członkowie mają za cel, walczyć w obronie dobrych obyczajów, przez unikanie tego wszystkiego, co cnocie zagraża, oraz przez wyrabianie w sobie wszystkich cnót, ze szczególnem uwzględnieniem cnoty czystości. Każdy młodzieniec powinien być „milicjantem" nie wtem znaczeniu, jakoby każdy musiał zapisać się do jej stowarzyszenia (co zresztą bardzo się poleca, gdyż młodzież korzysta z wielu łask temu stowarzyszeniu udzielonych), lecz w tem, że każdy powinien być rycerzem w walce z największym wrogiem młodzieży, jakim jest wszystko to, co grozi niewinności serc młodych. Każdy młodzian, który otrzymał na chrzcie św. łaskę poświęcającą oraz pomnożenie, jej, bo charakter rycerza Chrystusowego w sakramencie bierzmowania, ma być każdego dnia „milicjantem" w obronie czystości obyczajów najpierw swoich, a później u swych kolegów.

Wprawdzie cnota czystości nie jest największą cnotą, bo nią jest królowa cnót, miłość, lecz bez czystości nie można nawet pomyśleć o cnocie miłości. Przeciwnie, gdzie jest czystość, tam cnota miłości znajdzie grunt bardzo podatny do zapuszczenia swych korzeni. Serce czyste umie prawdziwie kochać. Młodzież polska okazała nieraz ducha rycerskiego w obronie ojczyzny (weźmy np. obronę Lwowa), gdy tego potrzeba wymagała. Niestety, nie zawsza ma odwagę, jeśli chodzi o walkę z własnem „ja", jeśli chodzi o wyrobienie charakteru. Praca ta jest trudna, bo wymaga bezustannego, i systematycznego wysiłku, co jest bardzo przykrem dla temperamentu młodzieży. Kto jednakowoż stanie odważnie do pracy, kto równocześnie z kształceniem umysłu, wykształci swe serce, tego przyszłość jest zapewniona. Na niego może liczyć rodzina, ojczyzna, a co najważniejsze on sam

zbierze obfity plon swej pracy, bo wyrabianie charakteru jest niczem innem, jak dążeniem do świętości, która jest jedynym środkiem osiągnięcia celu ostatecznego.

Niech Tomasz święty będzie przed oczyma Twymi, Droga Młodzieży Polska. Potrzeba ojczyźnie naszej wielu rzeczy, lecz największy brak jej jest prawdziwych charakterów. Młodość jest czasem, który rzeźbi najpiękniejsze charaktery.

Młodzieży, Ty nad poziomy wylatuj.... wznieś się ponad samą siebie, i nie wahaj się sięgnąć po doskonałość, jaką jest charakter prawdziwy, który nadaje prawdziwej wart ›ści i piękności wiekowi młodzieńczemu.

O. Romuald Kostecki,
Dominikanin.

Wyznania Ojca Lacordaire.

Odczułem wolność najsilniej w dniu święceń kapłańskich, kiedy to otrzymałem wraz z niemi *prawo mówienia o Bogu*. Otworzył się przedemną świat i pojąłem świętość *Słowa*.

Siłą mego całego życia, to nie wybór tego, co mieć chciałem, lecz gotowość spełniania rozkazów Bożych, objawianych przez nieprzewidziany bieg rzeczy.

W decydujących chwilach życia odczułem zawsze głos Opatrzności, który mną wewnętrznie kierował i uczył, jak mam postępować; słuchałem zawsze tego wewnętrznego wołania, byłem nań czujny i zawsze dobrze na tem wychodziłem.

Doznawałem niewdzięczności, gdy chciałem być człowiekiem, oddanym przedewszystkiem sprawom Boga i Kościoła, nie wpisując się do żadnej partji i poczuwając się do prawa głoszenia prawdy tam, gdzie tego zachodziła potrzeba.

Może jest we mnie mało cnoty; chciałbym jednak stanąć na Sądzie Boga, jako „kapłan bez zarozumiałości w sercu”.

Chcąc mieć w świecie powodzenie, trzeba mieć pewne oparcia, — a ja ich nie posiadam. Niech Pan Bóg osądzi, czy w tem tkwi jaki błąd mój, czy też prostota i bezinteresowna prawość.

Posługują się w polityce zasadą nieustępowania na krok, gdyż zyskujemy dla sprawy jedynie niezłomną mocą charakteru.

Gdy szarpią mi dobre imię, nie zwykłem patrzeć ni wprzód ni wstecz, lecz na to, co *uczciwe*, resztę poruczając Opatrzności.

Godzę się zasiąść u stóp Apostołów, ale nie u nóg przewrotników, którzy w niegodny sposób pozwalają sobie na sąd o sprawach wzniosłych.

Nie uwierzę, by siły serca mogły ustać, przeciwnie, czuję, że ono potężnieje, staje się tkliwszem, niezależniejszem od więzów ciała w miarę, jak życie i jego skutki niszczą powłokę, w której sercu zbyt ciasno.

Jeśli kto kładzie między mnie i siebie ćwierć kilometra przestrzeni, to ja tam dodam mil dziesięć i nie myślę o nim więcej.

Widujemy się, kochamy się, mówimy do siebie z zaufaniem, a gdy trzeba załatwiać sprawy ważkie, wypełniające nam życie, to się nie rozumiemy. Zdaje mi się, że taki bieg rzeczy to coś w rodzaju straszliwej, tajemnej kary, którą pojąć trudno

Pociechą w życiu jest dla mnie współżycie z Bogiem i dziećmi; prawda, że i dzieci mają swoje błędy, ale przynajmniej nie zbeszcześciły, nie nadużyły dotąd niczego w życiu.

Przyjaźń jest starem drzewem, na mojem wisi już tylko trochę liści jesiennych. Czy i one odpadną?

Wierność jest cnotą, która odpowiada najlepiej moim pojęciom o przyjaźni i o przekonaiach, a człowiek, który poświęcił to, w co wierzył i co kochał, jest w moich oczach przedmiotem niezwyciężonej pogardy.

Cenię każdego, jako wielkiego, kto wyrzeka się siebie, a choćby to był najskromniejszy rękodzielnik.

Wielkie serce w małym domeczku wzruszało mnie najmocniej z wszystkiego na świecie.

Uczucia wszelkie wydają mi się prawdziwemi dopiero wtenczas, gdy są uduchowione; niema bowiem mowy o serdeczności, jeśli ona nie objęła duszy.

Nie jestem w stanie kochać, jeśli za sercem nie idzie dusza, a między n mi nie stoi Chrystus Pan.

(Wolne tłom. Pensées Choisies. Seele. Monatsschrift im Dienste Christl. Lebensgestaltung. Sierpień 1927. Wydawca: Allois Wurm. München. Königin Str. 81).

Kaźmira Berkanówna.

Pieśń do Królowej Korony Polskiej.

Pani! co polską nosisz koronę,
Przyjm nas nazawsze pod Twą obronę.
Nie gardź poddanych Twoich prośbami:
Królowo Polski — módl się za nami!

W naszych potrzebach bądź litościwą,
Znak krzyża uczyń nad polską niwą,
Niech bujnie rodzi po wieków wieki,
Jak kraj szeroki — jak kraj daleki!

Niech nikt tu nigdy nie zazna głodu.
Królowo! Matką stań się Narodu!
Orędowniczko! Pocieszycielko!
Coś nam w udręce osłodą wielką!

Synowi racz nas polecać zawsze,
Przedstaw Mu prośby, które najłzawsze,
Które miłością bliźnich ciężarne,
Nie osobiste — przyziemne, marne!

Lecz Ty i takich słuchasz, o Pani!
I snopy słońca rzucasz nam w dani
I błosławisz ludzkiej uciesze,
Gdy miłość łączy człowiecze rzesze.

Więc tej miłości ześlij powodzie:
Niech się rozpali w Polskim Narodzie,
Niech każdy pragnie szczęścia dla brata,
Co w jeden uścisk miljony splata.

P. Z.

SPOŁECZEŃSTWO I WYCHOWANIE.

Pius XI jako alpinista.

Wiadomem było powszechnie, iż Don Ratti, za swych Medjolańkich czasów, jeszcze jako profesor, a później bibljotekarz w Ambrozjanię, niezmiernie lubił zaznawać wywczasów wakacyjnych na szczytach Alp i że wsławił się znakomitemi wycieczkami, w których uczestniczył czasami również Contardo

Ferrini, profesor prawa rzymskiego uniwersytetu w Pawji, jego przyjaciel, od przeszło już lat kilku proponowany kandydat do beatyfikacji*). Nawet francuska, nie we wszystkiem zresztą do zalecenia, biografja Piusa XI, pióra „Sergjusza”, wyrażała pewnik, iż dla amatorów i zbieraczy ciekawości stała się dziś niesłychanie cenną.

Rzadka broszura włoskiego klubu alpejskiego, która zawiera opis niektórych odkryć górskich obecnego Papieża kreślony jego własnym piórem. Równie wiadomo też jest w Polsce, jak Mgr. Ratti, jako Nuncjusz Papieski, interesował się Tatrami i taternictwem. Zaznać go, jednak, nigdy mimo chęci nie mógł.

Otóż, niektórzy członkowie alpejskiego klubu francuskiego, z Sekcji Sabaudzkiej powzięli i wykonali, lat temu kilka doskonały pomysł, by wydać ponownie alpejskie pisma Don Rattiego, i to we francuskim, dostępniejszym przeto ogółowi czytelników, przekładzie.

Podaję tu tytuł: „A. Ratti (S.S. Pie XI)—*Les Ascensions*—Mont Rose, Cervin, Mont Blanc. (A Ratti,—J. S. Pius XI—Górskie wyprawy—Monte Rosa, Matterhorn, Mont Blanc). Rok wydania 1922, Chamberg w Sabaudji. Osobna książeczka, bardzo starannie wydana uwydatnia przed nami sylwetkę Piusa XI, jako niegdyś alpinisty, p. t. *„Sous la Tiare”—Pie XI alpiniste* — (Pod Tiarą—Pius XI jako alpinista).

Składa ona hold temu, który, jak powiada, wstąpił na te szczyty, z których się już nie schodzi i na których samemu się tylko pozostaje. Piękna myśl, wyrażona imieniem alpinistów, ongiś jego „kolegów”—w górskim zawodzie.

Książeczki te nie są tylko banalnem powtarzaniem ogólników, lub też zbiorem anegdotek z życia ogólnie dziś wszechznanej i wszechznaczącej osobistości. Zawierają one tak cenne dane dla charakterystyki Piusa XI i dla myśli ludzkiej wogóle, iż choćby dla tego warto się niemi zająć.

---

*) Życie Contardo Ferriniego po polsku wydane zostało przez Marję Broel-Pląterową na podstawie dzieł Karola Perigriniego. Nakładem Jurkiewicza i Szalkiewicza. Wilno Ostra Brama 1916 str. 88. Pius XI aprobował już dekret o heroiczności cnót swego dawnego przyjaciela. Czytaniem jego życia cieszył się jeszcze specjalnie kardynał Mercier.

Wiele rzeczy uderza myśl w opisach, czynionych ręką samego Piusa XI alpinisty, na prośbę innych członków Alpejskiego klubu włoskiego. Jest to z jednej strony kreślenie trudów, wrażeń i odkryć, prawie że fachowe, dla „domowego”, że tak powiem, użytku klubowców. A jednak bije z nich ciągle myśl większa i szersza, niż to, co zdaje się obejmować. •

Więc naprzód pojęcie taternictwa, względnie alpinizmu, u obecnego Papieża. Nie jest to dla niego gimnastyka muskułów, szukaniem zaczepki z grozą przyrody (szczególniej wielkiej natury w wysokich Alpach) ani jakiemś wirtuozowstwem instynktowem i ślepem, ale czynem przedewszystkiem *ludzkim*, w pełnem słowa tego znaczeniu, w którym uczestniczą wyższe ludzkie siły, by, po przez cuda natury, z boskiemi łączyć się śladami. Znać tu podniosłość duszy, hart woli, wolne i pełne swobody używanie serca i rozumu, ostrożność w przedsięwzięciu, spokój, twardość w wykonaniu, chęć wystawiania się na trud, choć nawet po to tylko, by wyżej dojrzeć i wyżej dosięgnąć. Ale nic niema tu z tego dziwnego jakiegoś sobkowstwa, czy egocentryzmu muskularnego, które liczy tylko przebieżone kilometry lub stopy wysokości, uważając świat i najpiękniejsze jego zakątki za jakieś pole popisu dla swych instrumentów mierniczych, lub stechnizowanych odzieży.

Sobkostwo to gotowe się nawet narażać na śmierć bezczelną i głupią byle tylko nadzwyczajniej i bardziej ślepo, bez oczu ni czucia, przejść przez wał trudności i przez piękne oblicze ziemi, zhańbione taką brutalnością.

Alpinista — sportowiec bezcześci siebie i naturę. Łatwo wyczytać można tę myśl z alpejskich wspomnień Papieża. Don Ratti zaś idzie ku przyrodzie i jej tajemniczym światom z uczuciem Magów, którzy ongiś wypatrywali bieg gwiazd i stali się godni w ten sposób zoczyć Niesłychaną Gwiazdę Narodzenia Bożego. Piękne niechybnie są te karty Piusa XI, poświęcone pojęciu alpinizmu i ogólnym przeżyciom z nim związanym.

Piękniejsze jednak znajdzie czytelnik tam opisy nocy alpejskich na przeszło czterotysięczno-metrowych wzniesieniach, wśród złomów lodu przepędzonych, jak to się nieraz przytrafiło Don Rattiemu w niebezpiecznych miejscach. Zdarzało się, iż wśród truchlejących przewodników i towarzyszy, przepędzał on nieulękły, stojąc tak nad przepaścią, na skromnej i ciasnej,

jak kapitol kolumny szkolnej wysepce, noc całą wpatrzony w gwiazdy, bo wśród nocy nie można było iść już dalej. Gdy się czyta ten opis, podany zresztą w bardzo zwięzłym stylu, mimowoli nasuwa się podobieństwo takiej sytuacji z końcowemi wierszami każdej z części *Boskiej Danta Komedji*: „i wyszliśmy na gwiazdy, które Wieczna i Boska, Pierwsza Miłość w wir porusza".

Don Ratti powiada, że warto, by każdy miał wspomnienie podobnych widoków i że współczuje temu, kto takich nie zaznał, bo są niezapomniane. Znać już człowieka, który kiedyś, po dalszej wędrówce wśród życia, mieć będzie swoje własne i słynne obserwatorjum astronomiczne w swym pałacu na Watykanie Piotrowym. Zresztą, na tych wyżynach, na które zajdzie, będzie miał prawo, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie uchodzić za astrologa czasów i wypatrzyciela dróg boskich.

Inny jeszcze uderza fakt, gdy się czyta *„Górskie wędrówki"* Don Rattiego. To jest, że zawsze się wyczuwa jawnie, że choć autor jest bardzo skromny w opowiadaniu o sobie i powściągliwy, to jednakże właśnie on gromadkę wdrapywaczy prowadzi, a nie przewodnik lub inni. Przestudjował on wprzód znane i nieznane drogi; dokładnie z trudności zdał sobie sprawę; zawczasu wybrał sobie dogodnego mu „guide'a" — przewodnika, a choć mu ufa i widocznie liczy na zupełnie swobodne zastosowanie jego wiedzy technicznej i walory jego indywidualności, to jednak ma się wrażenie, że dopiero po osobistem swem zetknięciu z autorem właśnie „Guide" nabiera ufności do ziszczenia trudnych nieraz przedsięwzięć i wszystkie swoje rozwija przymioty.

W krótkich tych sprawozdaniach alpejskich, gdzie z konieczności rzeczy, dzisiejszy Papież, mówi o sobie „Ja", znać wielkie w nim dane do prowadzenia ludzi. Wieje też z nich wielka osobista skromność i jasne, ciągłe zaufanie ku Opatrzności. Można tu powiedzieć, że te sprawozdania, niesłychanie osobiste, dzięki cechom charakteru Papieża, które można z nich wyłuszczyć, szczególniej, gdy się je porównywa z osobistemi wrażeniami, odniesionemi ze spotkania się z nim, są jednak jak najmniej osobiste w toku samego opowiadania. Autor unika własnych wynurzeń. Sumienny erudyta z bibljoteki, chce i tu pozostać objektywnym. Z drugiej jednak strony, znać w tych

prostych kartkach wyraźnie, iż opowiadający dokładnie zdaje sobie sprawę z niektórych wielkich swych zamiarów, ale przypisuje szczęśliwy ich wynik, li-tylko, zbiegowi wrodzonej ostrożności i momentu chwili, to jest w gruncie rzeczy, Boskiej Opatrzności, która nią kieruje.

Bo też, jako alpinista, Pius XI wielkich dokonał i mozolnych odkryć. Zawsze wędrówki jego w najwyższe godziły szczyty. Na Monte Rosa odkrył przedtem nieznane i omijane z obawy wąwozy, a również i nowe bezpieczniejsze niż dotąd drogi. Niezmordowanie, zaraz po odniesieniu zwycięstwa nad wszystkimi szczytami tej góry—a jest ich coś jedenaście—poszedł na Matter Horn (inaczej Mont Cervin, wysmukły dąb górski ponad 4500 metrów), jakoby na odpoczynek, twierdzi. Otóż Monte Rosa, to wszak, co do wysokości, druga w Europie góra, a Matter Horn, cały już prawie położony w Szwajcarji—trzecia. Pozostawała pierwsza, najwyższy wierzchołek Alp i tej części świata, francusko-włoski Mont Blanc. I tu, swojemi stopami, nowe wykrył ścieżki i najdogodniejszy z włoskiej strony dostęp.

Zauważyć tu wypada również, że dzisiejszy władca Watykanu i Piotrowych kluczy, uderza zawsze w swych opisach szczerą miłością ku swej włoskiej ojczyźnie. Zwraca uwagę naprzykład, czy przewodnik pochodzący z tych dolin Piemontu, które mówią jeszcze po francusku, dobrze włada włoskim językiem. Wyraża się dalej, iż Monte Rosa jest „najbardziej włoskie". Poprawił na włoskie nazwy obce słowa, będące w obiegu w górach włoskich. Zaproponował nazwy nowe, które się utrwaliły. Znalazł najbardziej „włoską", jak się wyraża, pistę ze szczytu Mont Blanc i t. d. Jestto coś, co nas tylko wzruszyć może i co mi przywodzi na pamięć pewne słowo, zasłyszane niegdyś od niego samego w Nuncjaturze Warszawskiej: „Nigdy nie sposób, mówił, wyrzec się swej narodowości". A jednak, gdy zasiadł na szczytach papiestwa, Pius XI musiał sam stać się beznarodowym i ponadnarodowym—„Wszystkiem dla wszystkich" wedle słów apostoła Pawła*).

---

*) Odkąd to małe studjum zostało napisane, rządy Piusa XI nie jednokrotnie dały wyraz jego zapatrywania w wąśniach narodowościowych. Potępienie Action Française, obecnie zaś zajęte stanowisko wobec faszyzmu, wreszcie encyklika „Miserentissimus Redemtor" wytrwale głoszą niezłomne postanowienie Papieża, aby uśmierzyć obecne rozpłomienienie egoizmów na-

Lecz wróćmy do „Górskich wędrówek" Don Rattiego. W opowiadaniach tych tyle się wyczuwa swobody i wesołości, tyle prostoty, szczerości, tak wiele dostępliwości, iż doprawdy wydają się one czemś rzeczywiście wakacyjnem. Przytem, jeśli wysokolotne i orle myśli są tam autorowi wszechobecne, to jednak niemniej Don Ratti wydaje się w nich interesować się wszystkiem, wszystko widzieć i spostrzegać, tak, iż tym osobliwym darem, któryby nazwać trzeba szerokością i zróżniczkowaną dokładnością jednorazowego pola wizji, przypomina on, pewną potężną z przed stu laty osobistość, na cześć której wydano w 1920 roku w Warszawie, znamienne uroczystości, na których Mgr. Ratti sam był obecny.

Jeszcze jedno: w tym alpiniście nigdy nie przestaje żyć kapłan; duch chwalby Bożej nigdy go nie opuszcza. Na szczytach Alp, wśród nieprzebranych w swej rozmaitości, pięknie i bogactwie zjawisk natury, zdaje się on czytać swym duchem, jakiś przestworny brewjarz wysławiań boskich. I dla tego właśnie, że kapłan nie ustępuje miejsca alpiniście, ten alpinista, tak bardzo i tak zawsze jest prawdziwie ludzki! Może on o sobie powiedzieć znane łacińskie przysłowie „*Nihil humanum a me alienum puto*",— nic z tego, co człowiecze, nie jest dla mnie obce.

Wreszcie ostatnia uwaga. Nawet w tej skromnej, jak ją sam nazywa pracy, Don Ratti pozostaje wciąż umysłem wielkim i wielce *ścisłym,* historykiem o pracowitej, a i jednocześnie szerokiej informacji. Tak naprzykład podaje on zawsze wstęp historyczny, o poprzednich wyprawach, które przedzierały się drogami, jakie sam zapożyczyć zamierza. Cytuje też wielojęzyczne alpejskie dokumenty. O datach i zasłużonych dla alpinizmu ludziach, nie zapomina. Widać również, iż zna dokładnie odpowiednią literaturę, do każdorazowego tematu. Co zaś się jego samego tyczy, to przejawia również uważne zainteresowanie się zdobyczami innej wiedzy niż jego, w dziedzinach alpejskiego świata, choćby florą i fauną. Jednem słowem ta książeczka, która pod innem piórem mogła była być, bardzo ba-

---

rodowych. Choć sam osobiście nie zaznał ze strony Niemiec wielkich dowodów sympatji, to jednak w swym pierwszym gieście papieskim i w liście w sprawie Rhury wykazał, jak bardzo sam potrafi się wznieść ponad jakiekolwiek osobiste rozrachunki polityczne. Ale niemniej Włochy, droga Italja, pozostają bliższe sercu Papieskiemu.

nalną i suchą, staje się, dzięki kulturze i charakterowi autora, wprost niesłychanie ciekawą i poważną. Stanowi ona ponadto, jak gdyby zarys duchowej autobjografji, o której autor napewno nie myślał, a która jednak cenne zawiera szczegóły i dla charakterystyki samego Papieża i dla historji ducha ludzkiego wogóle. Alpinizm bowiem ma swą specjalną historję w dziejach kultury ludzkiej od połowy XVIII stulecia. Historja stosunku człowieka do gór podlegała zmianom z biegiem stuleci. Strach i tajemniczość okrywały świat górski za czasów rzymskich. Średniowiecze kazało w nim zamieszkiwać przeróżnym zjawom djabelskim, a jednocześnie wielkie duchy ascezy i mistyki katolickiej chętnie się w ten zaczarowany świat wdzierały. Odrodzenie mało miało zrozumienia dla bezpośredniej przyrody.

W XVIII zaś wieku, podczas gdy Wersal uginał się już pod nudnym brzemieniem sztucznego sentymentalizmu pasterskiego, poczęto wreszcie odkrywać Alpy. Uwagi Don Rattiego o światowem znaczeniu alpinizmu dla ogólnej cywilizacji, warte byłyby przytoczenia. Wszak wiemy dzisiaj, że nie sposób zrozumieć dziejów ludzkich (a dzieje Kościoła Bożego są w nie wmotane) bez poznania dziejowych wpływów wody, rzek i gór. Być może, w swych wycieczkach alpejskich przyszły Pius XI nabrał tej wyrazistości myśli i sprężystości działania w stosunku do tego, cobyśmy nazwać mogli, kościelną „weltpolitik" czyli nadprzyrodzonem pasterzowaniem już nietylko dusz i narodów, lecz światów, kontynentów i odmiennych cywilizacyj.

I oto zamknęliśmy miłą, głęboką, biało oprawną papieską książeczkę.

Dodatek.

Wypadnie dodać do tych pobieżnych uwag, spisanych na marginesie w tomiku Don Rattiego, mowę wygłoszoną niedawno przez Piusa XI na ogólnej audjencji katolickich drużyn, włoskich skautów. Mowa ta ma wiele cech podobieństwa z górskiemi opisami Don Rattiego.

Po Mszy św., celebrowanej umyślnie dla nich i w ich obecności, Ojciec Święty zwrócił się do harcerzy z arcyniebanalnym przemówieniem — „Jesteście, powiedział, *harcerzami* katolickimi (Po francusku „eclaireurs" tak jak i po włosku nieco

zmienia sens polskiej nazwy harcerzy a znaczy, tyle, co tropiciele, wyświetlacze, ludzie, którzy idą na patrol, na wywiady). Bądźcie zatem *katolikami-harcerzami* w życiu waszem całem (Co wedle tej samej gry słów znaczy katolikami, którzy wytrapiają nowe drogi, wyświetlają trudności, idą zajmować pierwszą pozycję, na wywiady w kraj mroków). Udziałem waszym hart i ostrożność. Zostawieni nieraz sami sobie, musicie zadośćuczynić wartościom waszego życia, które być winno zarazem życiem narażonem i życiem ochronionem. Zadość uczynić musicie waszemu hasłu „*Czuwaj*“! to test „patrz, gdzie wielkość, gdzie dobro, a również gdzie krok niebezpieczny“! Czuwaj! Czuwaj też dla innych, dla gromady, co za wami — za każdym z was idzie. Czuwaj! dla was samych, dla każdej chwili i dla każdej mocy waszego własnego życia”.

Streszczając tu bardzo pokrótce dość długie, ojcowskie, serdeczne, proste i zarazem poważne, pełne osobistej sympatji dla harcerzy i harcerstwa przemówienie Piusa XI według szwajcarskiej katolickiej gazety „La Liberté” (Wolność), chciałem tylko zaznaczyć wspólność myśli i uczuć, jaka zachodzi pomiędzy tą mową, a wspomnieniami alpejskiemi Don Rattiego. Nie czcza gimnastyka ciał i tak zwanej, a sztucznie zazwyczaj pobudzanej i wmawianej „woli” (fizycznej), dziś tyle modnej i tak bardzo antychrześcijańskiej w swych filozoficznych ugruntowaniach; nie pusty tylko sport, lecz łączenie całego życia, egzystencji duszy z chwilowem hasłem, czy też wypoczynkiem! A również ta wrodzona cecha hartu, zmysłu ryzyka i ostrożności zarazem, pełna wyższej odwagi i powolnych zdobyczy ducha, którą już Don Ratti podkreślał w swym programie idealnego alpinizmu czy też taternictwa. Wreszcie sympatja do wszystkiego, co może bliżej wiązać człowieka z Bogiem i mlecznemi niebios drogami. Duch trzeźwości i realnej zdobyczy, duch mocy i ufności, ufności i optymizmu większy, niż chwilowo osiągnięty rezultat, a nawet i dlatego rezultatu konieczny. Oto zda się cały Pius XI, tak jak się nam, w pierwszych chwilach swego Pontyfikatu przedstawia *)

Pisane we Fryburgu i Górach Szwajcarskich 1923 r.

Br. Kreuza.

---

*) Od chwili kiedy te kartki zostały napisane, ubiegło już lat kilka i kronika alpinizmu Piusa XI znacznie już się powiększyła. Gdy angielska wyprawa wróciła z powtórnych pokuszeń o zdobycie Mont Ewerestu w Hi-

Chiny i Chińczycy.

Całe pierwsze półrocze roku 1927, tak burzliwe i opłakane dla prowincyj południowych i środkowych, w Mandżurji przeszło spokojnie. Telegramy tylko i sprawozdania w dziennikach przynosiły do Charbinu wiadomości o wysiłkach komunistów, o zarzewiu czerwonem, ogarniającem Pukou, Hankou, Nankin i Szanhaj po części, o walkach, o porażkach, o niepowodzeniu czerwonych.

Była chwila jednakże, że i Charbinowi groziło silne wstrząśnienie. W połowie stycznia wykryto tajny zamach przeciwko Dżan-dzo-linowi i miastu zarazem. Jeden z wyższych jenerałów, najbliższych wielkorządcy, Jandżou, zamierzył dokonać powstania i zająć miasto. Musiałyby wyniknąć walki, dlatego też miasto zostało przez spiskowców w wielu miejscach podminowane. Na paię dni przed przyjazdem naszym rozegrała się cała ta tragedja. Japońska policja tajna zamach wykryła i gubernator ze sztabem natychmiast aresztował Jan-dżou, natychmiast osądził, skazał na śmierć i wyrok na miejscu wykonał. Nie poprzestali jednak mściciele na uśmierceniu; nad ciałem winowajcy pastwiono się długo, wbijano w nię gwoździe i krajano, wreszcie poszarpanego trupa rzucono na śmietnisko bez pogrzebu; jest to najwyższa w Chinach kara i zniewaga. Wszystko to spadło na jenerała za sprzeniewierzenie się Dżandzolinowi, któremu właśnie zawdzięczał swe wyniesienie na wysokie stanowisko, i którego zaufaniem się cieszył. Dzienniki charbińskie poprzestały na bardzo krótkiej wzmiance o zajściu.

Jak widać po dziś dzień Chiny nie zmieniły swych zwyczajów i na tym punkcie, pomimo to, że armja dostała umun-

---

malajach, jej londyński Komitet uznał za stosowne ofiarować Papieżowi bryło granitu Himalajskiego, zasadzoną na srebrnej podstawie, na której wyrytę odpowiedni napis dla Piusa XI jako alpinisty i głowy wszystkich przyjaciół gór. Polskie towarzystwo taternicze ofiarowało ze swej strony Ojcu Świętemu piękny album z widokami gór polskich. Alpinistyczna nuta Piusa XI ozwała się malowniczo i serdecznie w liście, wystosowanym na tysiąclecie św. Bernarda z Mentonu, założyciela słynnego schroniska górskiego, powszechnie znanego pod Jego imieniem. Papież je kiedyś odwiedził i w liście swoim nie przepomniał również ratowniczych psów Sanbernardów. Wyszło też wspaniałe niemieckie wydanie Wendrówek górskich Don Rattiego.

durowanie europejskie i oficerowie wyglądają całkiem po zachodniemu, pomimo to, że policja w Charbinie nosi białe rękawiczki. Prawda, że dziś nie ścina się łbów rozbojnikom tuż pod miastem, na pustym placu, w pobliżu kościoła polskiego, jak to bywało jeszcze parę lat temu. Czyni się to jednak dotąd, tylko nieco dalej. Właśnie w roku ubiegłym, 1927 w lecie, były takie wypadki pod stacją Jabłoń, przy drodze żelaznej, wiodącej do Władywostoku, a więc na głównej arterji życia europejskiego, o siedem godzin jazdy na wschód od Charbinu. Człowiek, który mnie woził przez kilka miesięcy powozikiem do zakładu dla sierot w Starym Charbinie, najął się do zajęć w wielkiem przedsiębiorstwie leśnem w Jabłoni. Pewnego dnia zaczęli go ścigać chunchuzi, rozbójnicy, zbiegł jednak. Wnet oddział wojska chińskiego urządził przeciw nim wyprawę i trzy głowy ścięte przywieziono na pokaz, zatknięte na tykach. Kiedym bawił w lipcu w tamtych stronach, w Imianpo, przyszła wiadomość, że wojsko ponownie miało starcie z bandytami. Zrobiono większą wyprawę i zastano gromadę chunchuzów w jakiejś zagrodzie. Jaki był przebieg walki, nie wiem, dość, że około dwudziestu chunchuzów strącili żołnierze do silnie wezbranej rzeki i potopili, przeciąwszy im drogę do ucieczki. Na kilka miesięcy przedtem młody jenerał, syn marszałka Dżandzo-lina, udał się w te strony dla dokonania przeglądu. Żeby mu złożyć dowód gorliwości i energji, wojsko wybrało się na wielką wyprawę przeciw chunchuzom. Przejeżdżającemu potem przez Imianpo dostojnikowi pokazano z dumą stojącą na linji całą platformę z odrąbanemi rozbójnikom głowami. Oglądali je i biali mieszkańcy tego miejsca i podziwiali, że wszystkie głowy miały warkocze, tymczasem chunchuzi ich nie noszą; musiały to być zatem, powiada, głowy nie chunchuzów, tylko, niestety, spokojnych ludzi, którzy z południa, z Szandunu głównie, przybywają tu corocznie na roboty letnie.

Policja chińska dla białych ma jeszcze dotąd respekt, ale ziomków swoich nie oszczędza w potrzebie. Widziałem, jak policjant nie poprzestając na szpicrucie, grubym kijem walił po plecach spokojnie jadącego woźnicę; ten ukrył się na dnie wozu, ale nie uciekał. Inny znów bił po głowie, strącając kapelusz, i kopał raz po raz jakiegoś rikszę, stojącego przy swym powoziku ręcznym, a gromada ludzi spokojnie na to patrzyła. Widać było, że bicie przechodziło w znęcanie się.

Wogóle chińczycy nie znają, co to litość; i nie współczują z cierpiącymi; gdy epileptyk padłszy na ulicy drgał, otaczający go śmiali się w miarę jego konwulsyjnych ruchów; gdy w oczach naszych jakiś chińczyk, nie mogąc przepłynąć wpław wezbranej rzeki, zaczął tracić siły i tonąć, nikt z żółtej gromady o ratowaniu go nie myślał, było to niemal niepodobieństwem, więcby darować można, gdyby nie to, że rozpaczliwe wysiłki jego znowu śmiech w gapiach chińskich budziły. Ubogich również wspierać nie mają chińczycy zwyczaju. Widziałem wprawdzie parokrotnie, jak na przystankach miejskich ten i ów z żółtych dawał podchodzącemu żebrakowi najdrobniejszą monetę miedzianą, ale znawcy stosunków twierdzą, że to zjawisko rzadkie i przypisać je należy wpływowi Europy.

Dodawszy te spostrzeżenia do czytanych gdzieindziej świadectw o stosunkach chińskich, proszę wyobrazić sobie, jakby się mieli europejczycy w Chinach, gdyby utracili dotychczasową eksterytorjalną nietykalność i zostali zrównani w prawach z poddannymi żółtego Państwa! Nie, nie zrzekajmy się lepiej eksterytorjalności!

Ciekawa jest kwestja chunchuzów. Chunchuzi to nie szajki bandytów poprostu, ale cała organizacja bandycka, silna i rozległa, istne państwo w państwie. Marszałek oraz jenerałowie urzędowi rządzą właściwie tylko po miastach i wielkich drogach, chunchuzi rządzą całą resztą kraju. Mają własną hierarchję urzędniczą i własne armje. Niemało wśród nich ludzi nawet dość inteligientnych. Rządy ich wyrażają się głównie w ściąganiu podatków. Tak, tedy nieszczęsny lud wiejski wzięty jest w podwójne kleszcze—stąd ciśnie go rząd państwowy, stamtąd chunchuzi; i ci biorą i tamci. Z dwojga złego wieśniak woli nieraz nawiedziny chunchuzów niż regularnych żołnierzy; tamci mniej biorą i częściej za rzecz zabraną płacą, a gdy jedna partja chunchuzów da pokwitowanie, to druga zostawia wieśniaków w spokoju, ujrzawszy dokument. Żołnierz tymczasem wpada do zagrody i bierze co zechce, a o zapłacie nie myśli: dowództwo przecież za swawolę jego płacić nie będzie. Chunchuzi nadto czynią wybór wśród swych ofiar: z włościan ściągają mierną daninę w naturze, biedakom dają spokój, wysokie opłaty ściągają z bogatych. Od prostego miernika w lasach brali naprz. po pięć dolarów (charińskich) miesięcz-

nie za chodzenie po lesie; pod zakładami leśnemi Kowalskiego trzymają się setkami i każą sobie składać żywność i opłatę stałą. W zimie roku bieżącego napadli na jadących samochodem po lodzie rzeki Sungari kupców chińskich i jednego zabili wystrzałem z zasadzki, innego zranili, pozostałych zaś uprowadzili w góry, żądając wykupu. Szofera z maszyną puścili z powrotem. Działo się to w odległości zaledwie 70 kilometrów od miasta. W lipcu zaś tego roku, na znanem letnisku Erdzendziandzy, otoczyli gromadkę wracających do domu europejczyków i pod groźbą rewolwerów uprowadzili trzech mężczyzn białych w góry. Obecne przy tem panie podniosły krzyk i to nie dało bandytom zabawić dłużej na miejscu. Uprowadzeni nie byli ludźmi bogatymi, żyli z pensji dziennej; udało im się w końcu przekonać o tem bandytów i ci uwolnili jednego, potem drugiego. Na drugi, czy trzeci dzień zaskoczyli chunchuzów żołnierze, powstała strzelanina, i dwaj jeńcy znaleźli się pod kulami. Dwaj uwolnieni opowiedzieli szczegóły swej przygody i gazety charbińskie podały je do wiadomości ogółu. Białych jeńców bandyci traktowali lepiej, z chińczykami kupcami gorzej się obchodzili. Tym razem przeto bandyci omylili się w rachubach; zazwyczaj badają oni sprawę przez tajnych ajentów, którzy uwijają się po miastach, a trudno ich, zaiste, poznać w niezliczonem mrowiu ludności chińskiej. Nawet obfita policja chińska rzadko ich się doszukać może. Niejeden z wyższych stanowiskiem chunchuzów wzbogacił się z biegiem czasu, rzucił bandytyzm i zjechawszy do miasta, został bogatym kupcem.

Chunchuzi panują po całych Chinach północnych, przynajmniej tam, gdzie można się obłowić. Dopiero Mongolja jest od nich wolna, tam bowiem rządzą nie chińczycy, lecz drobni książęta miejscowi; ci mało się liczą z rządem chińskiem, a chunchuzów nie dopuszczają i są niemal samodzielni. To też Mongolja stanowi najbezpieczniejszą chyba część państwa chińskiego.

Przykro patrzyć człowiekowi białemu na ucisk i nędzę chińczyka. A jednak ci, co tu dłużej siedzą, powiadają, że lud ten potrzebuje bata, inaczej wielceby się rozzuchwalił. Być może.

Nędznie naogół żyją chińczycy. Mieszkania ich ciasne, pożywienie skąpe, zarobki liche. Miasto chińskie, takie jak naprzykład tu w Charbinie dzielnica Fu-tsie-tien, bardzo przy-

pomina dzielnice żydowskie u nas: domy tam ciasne, ulice wąskie, gęsto natłoczone sklepiki, zaduch i brud, w porze deszczowej błoto rozpaczliwe. Ale charakter tych ulic szczególniejszy zaciekawia nas wielce. Szeregi dużych szyldów kupieckich wystają nad chodnik po obu stronach ulicy, na nich wielkie piękne hieroglify chińskie zdala rzucają się w oczy; ulubionem u nich jest tło czerwone, litery zaś często bywają złocone, wypukłe, nakładane, nieraz na tablicach rzeźbionych, barwnych i złoconych, istne wyroby artystyczne. Barwne szyldy na płótnie zwieszają się często aż do dołu Tam znowu odznaki cechowe wiszą przed sklepami: tu buty w płaskorzeźbie, tam rybki złocone, tam podobizny starych monet wraz całym sznurem jakichś jakby amuletów.

Ładna byłaby kolekcja takich znaków kupieckich, i w muzeum charbińskiem spróbowano je istotnie odtworzyć w zmniejszeniu, ale tylko na papierze. Najczęściej powiewają wielkie jakoby wiechy z kolorowej nacinanej bibuły; zdaje się, że oznacza to składy żywności. Miejscami spotyka się dom bogatego kupca, ozdobny w sztukaterje i piękne hieroglify. Bywają i malowidła na płótnie, przy sklepach zwłaszcza fryzjerów.

A jaki ruch na tych wąskich ulicach! Ruch bez odpoczynku niemal, bo święta tygodniowego, niedzieli, chińczycy nie znają. Zwiększają ciasnotę stragany drobnych przekupniów, którzy długiemi szeregami rozpościerają się na chodniku przed wystawowemi oknami wielkich sklepów. U nich kupuje się obuwie chińskie, ubranie, czapki, drobne narzędzia metalowe, poduszki, szczotki, fajki, książki nawet. Można tu bardzo małym kosztem ubrać się—oczywiście po chińsku – trzykroć taniej, niż u nas. A towar bynajmniej nie jest starzyzną. Na innych ulicach ciągną się szeregi jadłodajni: tu leżą bułki z wytłaczanemi pieczęciami, tam mięso gotowane, świńskie łby sterczą z ciemnych sosów, blade pierożki ryżowe na parze gotowane i wiele różnorodnych, smakowitych zapewne, w nieznany nam sposób sporządzonych potraw. Tam, gdzie na niskim stoliku złożone są malowane miseczki, zasiadają goście do spożywania: co stałego, wybierają podwójną pałeczką z płaskiej miski, co płynne – wypijają bezpośrednio. Wygląd tych instytucyj nie zachęca do jadła i apetytu nie zaostrza bynajmniej. Wśród tłumu ulicznego snują się nadto przekupnie krążący,

którym nie wolno zatrzymać się długo na miejscu: ci niosą na ramieniu tykę z powtykanemi w nią jabłuszkami w cukrze, inni na kiju niosą drobne narzędzia, inni jeszcze, latem, sprzedają małe klateczki z gaolanu z ćwierkającemi w nich zielonemi konikami. Ciężarów nie noszą chińczycy wprost na plecach ani na ramionach, tylko w dwu koszach, zawieszonych na dwu końcach długiego nosidła, przerzuconego przez ramię nakształt wagi. W takich koszach niesie hodowca drób, ogrodnik warzywa i owoce, pracz—bielizną. Na podobnem nosidle blacharz niesie piecyk z kominem, blachę i narzędzia, kupiec—drobny towar, guziki i szpilki albo tkaniny, golarz stolik i brzytwy. Takie nosidła bywają nieraz zdobne w blaszki, namalowane na czerwono i zaciekawiającego kształtu. Mnóstwo przekupniów i rzemieślników chodzi po podwórzach i wykrzykuje swe zawiadomienia, najczęściej piskliwym, kobiecym głosem. Nadmiar jest szewców wędrownych: na podwórzu jednego i tego samego domu słyszy się nieraz kilka razy dziennie wołanie o obuwie do naprawy. W oznaczonych miejscach ulicy ubodzy szewcy zasiadają codziennie do roboty i przy największych nawet mrozach operują sukienne pantofle, podczas gdy klijent siedzi obok na stołeczku lub ziemi z bosą nogą, czekając końca. Po rogach większych ulic stoją szeregi dwukolnych lekkich wózeczków, a ich woźnice i konie zarazem pilnie obserwują przechodniów, i nieraz natrętnie napraszają się z usługą. Te jednak wózki, riksze, są niebrzydkie i dobrze utrzymane, mają budki składane nad głową, w zimie zasłony od przodu z okienkiem, i białe szydełkowej roboty podkładki pod plecy. Z nich korzystają najczęściej chińczycy. Prócz tego snują się jeszcze dwukołowe wózki konne, na jednego pasażera, o ciemnolicym woźnicy i małym, grubym, nieładnym koniku. Dopiero na krańcu dzielnicy, przy wielkiej drodze znajdujemy szereg autobusów, co chwila odchodzących i przychodzących, i samochodów, biorących pasażerów gromadami; tu wśród szoferów i konduktorów przeważają biali (w Charbinie).

Obraz ten cały proszę oblać odpowiednim sosem: gdy wichry wiosenne miotają brudny kurz w tych ulicach, zasypując oczy, lub gdy do spotniałej od letniego upału skóry lgnie taki nieczysty pył... W słotną zaś pogodę nikt z nas nie wy-

biera się na to błoto, w zimie znów, przy dwudziestokilkustopniowym mrozie, przebiega się pośpiesznie po grubo namarzłem błocie i lodzie, pocierając co chwila nos i uszy. Z tem wszystkiem najponętniejsza to dzielnica miasta. Dodać trzeba, że pośród ogólnego zaduchu doleci tu nieraz powonienia pewien delikatny, nieznany u nas, zapach; skąd pochodzi, nie wiem napewno, prawdopodobnie z pręcikowego kadzidła chińskiego, i jest bardzo znamienny dla Chin.

Przechodnie wszyscy w dawnych długich szatach. Policjanci tylko po europejsku, krótko są ubrani, oraz riksze, dla łatwiejszego biegu. Kobiety najczęściej w starodawnych strojach, to jest, w to samo odziane co mężczyźni. Potwornie drobne, wymęczone stopki przeważają u nich po dzień dzisiejszy. Rzadziej widuje się kobiety w czarnych spódnicach, jest to już pokolenie młode, panny przeważnie emancypantki. Dzieci ubrane, jak starzy, albo też w kaftanikach krótkich, zamiast sukni. Dziewczynki różnią się od chłopców jedynie głową: noszą po dwa warkoczyki i grzywkę przyciętą nad czołem, nadto częstokroć bransoletki na rękach pozatem takie same na nich spodeńki do kostek, tylko tyle, że często bywają w kwiatki. Kobieta często pali fajkę na długim cybuchu, czasem papierosa.

Podziwiałem, że przy tak nędznem odżywianiu się w Chinach spotkać można nieraz, w zimie zwłaszcza, chłopaka o pyzatej, czerwonej twarzy. Ale to widać wyjątki, większość jest blada i chuda. Podobnie chudzi są chińczycy dorośli. Niewielu kupców albo urzędników cieszą się pulchną twarzą i okrągłemi kształtami. Po zakątkach ulic, lub po rogach europejskiej dzielnicy czatuje nieraz na przechodnia istota o wyglądzie okropnym: małe to, chude, o wyschłej spalonej na ciemno, brudnej twarzy, rozczochrane, brodate, w łachmanach, biegnie i usilnie prosi o „kopiejeczkę“. Niejedno serce mocno się tym widokiem wzruszy. On tymczasem, gdy już naliczy w dłoni dziesięć, znika na chwilę, biegnie do nieznanego ogółowi zakątka; tam specjalista ukryty udziela mu odrobiny opjum lub poprostu zastrzykuje morfinę, i osobnik taki na jakiś czas czuje się zaspokojonym: leży i spoczywa, nieraz poprostu na ulicy. A potem, gdy działanie narkotyku ustaje, gdy wycieńczony organizm i zatrute nerwy dokuczać mu poczną, znowu

biega za „kopiejeczką“... i tak aż do końca. O posiłek nie dba. Powiadają, że policja chińska, znalazłszy nocą takich nieszczęśników leżących na ulicy, wywozi ich za miasto i zostawia w polu, zimą..., aż do zmarznięcia. Opowiadają nawet o pewnym lekarzu zdolnym, rosjaninie, który w ten sposób wykoleiwszy się doszedł do nędznego końca. Ratowali go koledzy, dali mu mieszkanie, urządzili gabinet — nic jednak nie pomogło—nałóg zwyciężył.

Gdy latem zacznie palić słońce, gdy termometr dzień w dzień wznosi się wyżej stopni trzydziestu (C), cała ludność chińska występuje jednostajnie w bieli. Wraz z porą chłodną wraca barwność w odzieży i wtedy podziwiać można błękitne, niebieskie, czerwone, jedwabne salopy kobiet i dzieci, a i mężczyźni w jedwabie się stroją—o ile mogą—tylko zwykle czarne lub sino-popielate. A tkaniny te zawsze usiane są wielkiemi kwiatami lub kołami tłoczonemi z deseniem. Najpospolitsza odzież ludowa jest z niebieskiego płótna.

Patrząc na to rojowisko chińskie, dziwi się człowiek, jak się to wszystko przy życiu utrzymać może. Przecież tu więcej kupców, niż kupujących. W sklepach nie roi się od klijentów. Zysków większych ciągnąć niema z kogo; w mieście europejskiem da się z białych, ale tu ze swoich współbraci?... Przytem kupcy chińscy są stosunkowo uczciwi, zaceniają wprawdzie—to obyczaj wschodni—ale nie oszukują, jak u nas żydzi. W dużych zaś sklepach mają ceny stałe. A jakże przepełnione są ich targi towarem: w dzielnicach europejskich znajdujemy rozległe targi i bazary pełne odzieży, bielizny, mebli, żywności, sprzętów nowych i starych.

Zazwyczaj w jednym dużym sklepie mieści się kilka działów, naprzykład: herbata, tkaniny, kosmetyki, galanterja, albo przybory piśmiennicze, książki, porcelana, instrumenty muzyczne, albo inna podobna kombinacja. Przy każdym dziele stoi gromada kupców specjalistów z pomocnikami wszelkiego kalibru. Nawiasem mówiąc, wśród takich kupczyków widuje się wielu chłopców o całkiem miłej twarzyczce, sympatycznych i uśmiechniętych. Tylko dziwnie jakoś w profesji swojej są ci kupcy apatyczni: nie myślą nadskakiwać klijentowi, ani zachwalać towar: gdy niema, czego tamten żąda, nie próbują mu nic innego proponować. Niema, powiadają — „mejju“ — i koniec.

Klijent musi wiele się natrudzić—nie znając języka—żeby sobie dobrać coś odpowiedniego.

Mnóstwo ciekawości widuje się w takich składach. Żal tylko, że wypada odchodzić, pozostawiając to wszystko na miejscu z braku funduszów. Tu bronzowe posążki Buddy, tam figurki większe z porcelany — filozofowie z brodami z włosów prawdziwych: dalej instrumenty: dziwaczne skrzypce kształtu fajki, mandoliny okrągłe, flety trzcinowe, okaryna z pękiem piszczałek, kastaniety deszczułkowe, długie wąskie cytry; gdzieindziej wiszą dawne łuki ozdobne, miecze proste w pochwie ze skóry wężowej, szerokie szable, halabardy dziwaczne; ówdzie suknie prześliczne od stóp do głów haftowane, nierzadko złotemi nićmi; barwne, kwieciste pantofelki dziecięce i kobiece, bajecznie maleńkie, haftowane, jak przed wiekami. A wszelkich pudełeczek rzeźbionych misternie, amuletów, haftów, torebek, figurek drobnych, filiżanek, fajek... wyliczyć niepodobna. Nadzwyczaj ciekawe są apteki chińskie—takie jak niegdyś, starego typu. Szereg prześlicznych naczyń, barwnie emaljowanych, zajmuje półki średnie przez całą długość sklepu. Wyżej inne wazy ozdobne, niżej szufladki i skrytki z pięknego drzewa, o przedziwnych napisach. Aptekarze na ozdobnych starodawnych przezmiankach odważają klijentom dziwne jakieś zioła. A klijentów tu więcej, jak po innych sklepach. Na wystawie, za wielkiemi szybami, w pięknych pudełkach, pod szkłem, lub w słojach, figurują leki, o jakich nam się nie śniło: suszone węże lub żyjątka morskie, żółwie, łapy niedźwiedzie, części ciała tygrysiego, nadewszystko zaś — „żen-szen" korzeń pewnej rośliny, kształtu figurki ludzkiej, coś niby „mandragora" bliższego wschodu, lek, sprzedawany na wagę złota, który poszukiwacze w Mandżurji nieraz wraz z życiem wydzierają z rąk sobie.

Wielkie sklepy posiadają także zjednoczeni jubilerzy, a okna ich przybrane są w masy amuletów, figurek, naczyń, waz, filiżanek ze srebra i złota. Znaleźli się i tacy kupcy — bogacze, którzy sobie założyli dwupiętrowe magazyny, na wzór europejskich i amerykańskich; w tych panuje wielki porządek, usłużność, wykwint nawet; takim jest znany w Charbinie dom handlowy „Kun, cho-li".

A oto nieco dalej cukiernia chińska; w oknie jej wdzięczą się arcydzieła sztuki cukierniczej: barwne figurki bóstw z masy słodkiej, obok duże „brzoskwinie nieśmiertelności", o różowych czubkach. A tam dalej, na ulicy, płótnem osłonięta budka; w niej siedzi jeden tylko człowiek, a przed nim stolik, kubeczek z pędzelkami, paczki papieru i kopert — to pisarz, co za kilka groszy na poczekaniu wykaligrafuje życzącemu sobie list i na kopercie położy piękny adres w czerwonej obwódce, do wysłania na wszystkie cztery strony Państwa Środkowego. Dalej w podobnej budce siedzi inny człowiek, stary o poźłobionej twarzy, i ma przed sobą jakieś dziwne deszczułki, listewki z napisami, krążki, tabliczki—co to być może? to wróż, który wskaże niechybnie, czego się człowiek spodziewać ma i jak postąpić... Gdy gorąco, mamy całe kosze wachlarzów u przekupniów ulicznych, wybór duży, towar ładny. Gdy dokuczają muchy, kupujemy oganiaczkę z włosia na ozdobnie oplatanej pałeczce. Kiosków z napojami, owoców z cukierkami, oraz tytoniem nie liczę, jest ich bowiem bez liku.

Taki jest wygląd ulicy.

Słychać zdala dziwną muzykę. Idziemy zobaczyć, o co chodzi. Właśnie nowy kupiec otwiera sklep i uroczyście obchodzi narodziny swego przedsięwzięcia. Mnóstwo wstęg z ogłoszeniami powiewa na ulicy, a przy wejściu stoi kapela: kilku muzykantów bez nut, na pamięć, rżnie do upadłego jakąś uwerturę na instrumentach dętych, bo chodzi o jaknajwiększą doniosłość głosu. Prym trzyma chińska półtrąba półklarnet, pospolicie w takich razach używany instrument, ponieważ najbardziej razi uszy. Inni muzykanci wtórują jej na fletach i piszczałkach, zgadzają się mniej więcej, sposobem intuicyjnym. Trzeba przyznać, że dmą sumiennie i pieniędzy darmo nie biorą. Tylko melodji czy symfonji trudno się w tych dźwiękach dosłuchać, i wogóle sensu muzycznego w nich niema. Są znawcy Chin, którzy twierdzą, że muzyka chińska ma niemniej wartości niż nasza, ale sądzę, że ci ludzie, nawykłszy do muzyki chińskiej, wypaczyli sobie pojęcie o wymogach harmonji i doboru dzwięków. Charakter muzyki chińskiej, o ile uchwycić mogę, polega na jaknajbardziej urozmaiconem przeskakiwaniu od wysokich tonów do niskich i to w tempie jaknajszybszem, z obfitością dość niezgrabnych trylów. Niskich

tonów używa się niewiele; chińczyk stara się grać, czy śpiewać jaknajwyżej, stąd gdy sobie nuci, to zawsze tylko falsetem. A już śpiew kobiecy, jaki często słyszeć można z gramofonów, po ulicach i targach, to istne skomlenie zawodzącego żałośnie psiaka, tylko tyle, że nieco sharmonizowane.

Tegoż rodzaju orkiestrę słyszeć można na weselu i przy pogrzebie. Ciekawem zjawiskiem jest pogrzeb chiński. Gdy zwykła codzienna bezdźwięczność życia chińskiego zostanie naraz zakłócona piskliwą muzyką, nieustającą od ranka do wieczora, trwającą nieraz po kilka dni z rzędu, to znak, że ktoś w pobliżu umarł. Udajemy się na miejsce, żeby choć popatrzyć na obchody żałobne.

(Dok. nast.). *Ks. ar. R. Wierzejski.*

ADVENIAT!

Przyjdź Królestwo Twoje!

Oto stoi Pan...
A słoneczny łan
Morzem złotych fal się schyla
Do tych Bożych stóp, i tyle
Tyle sieje zórz....
Tyle sieje zórz....
Zórz przejasnych miłowania
W te ogromne chlebobrania,
Na bezkresny łan!
Oto stoi Pan...
Kocham! kocham chlebne niwy,
Kiedy stoi Jezus żywy
I zbielałych zbóż okręga
Boskiem okiem tęsknie sięga.
Iż żniwowy czas!..
A przy Synu troską zdjęta
Patrzy smutnie Matka Święta:
Iż żniwowy czas....
Żniwo wielkie i zbielało,
Ale robotników mało.
Kto podejmie zbiór?...

Kocham, Jezu, chlebne łany!..
To mój szlak umiłowany
Od dziecięcych lat!
One rojnych kłosów pole
Nad podolne lilje wolę
I nad dęby gór!
I nad pyszne róż szkarłaty
Droższe miłe kłosy braty,
Którym jam też brat!..

Pragnę Twoich dóbr dostatka,
Jako szczęścia pragnie matka
Dla dzieciny swej...

Pragnę z ziaren mąki czystej
Życie dusz zbawionych, Chryste!...
Dla miłości Twej!...

I Bożego z mąki chleba:
Wszystkim ludziom Ciebie—nieba!
Dla pociechy Twej...

Pójdę, Jezu! i do Serca
Snopy ciężkie, ziarna złote
Z owych długich pól Ci zmiotę

Na ten święty plon.
Pójdę, i z tych niw kobierca
Do Boskiego Twego Serca
Z chlebodajnych gron
Zgarniać będę plon,
Zgarniać będę plon!...

br. Bolesław. SS-CC.

ŻYCIE KATOLICKIE.

Gotyk upostaciowaniem ducha średniowiecznego.

Architektura jest odbiciem danego narodu i danej epoki. W tem przedziwnem zwierciadle odrębności indywidualne Wschodu i Zachodu występują nadzwyczaj wyraźnie. Jakże bardzo różnią się przytłaczające swym ogromem, przeładowane wyszukanemi ozdobami budowle wchodnie od pełnych wdzięku i piękna pałaców starożytnej Hellady i Romy! Po scharakteryzowaniu w poprzednich artykułach kultury średniowiecznej, po przedstawieniu wielkiego rozmachu życiowego i ofiarności ludzi ówczesnych, przejdę z kolei do omówienia wspaniałych zabytków architektonicznych tej epoki – do gotyku.

Wiele wieków upłynęło, zanim katolicyzm przestał szukać schronienia w podziemiach, katakumbach lub w grubych murach kościołów romańskich. To też długo Kościół czekał na stworzenie prawdziwie chrześcijańskiej architektury, zdolnej odzwierciadlić w sobie całą głębię przewrotu duchowego, jaki się dokonał pod wpływem nauki Chrystusowej.

Aż wreszcie zdołano stworzyć odbicie nauki Kościoła Powszechnego — powstał gotyk. Wszystko tu było przesiąknięte tradycją kościelną: począwszy od drobnych szczegółów, a skończywszy na ogólnej kompozycji i całości dzieła.

Świątynia gotycka jest zbudowana w kształcie krzyża. Dwanaście filarów głównej nawy symbolizuje dwunastu apostołów. Trzy okna za wielkim ołtarzem mają przedstawiać Trójcę Przenajświętszą. Całe wnętrze, nie wyłączając nawet drzwi, jest pokryte symbolami i postaciami świętych. Było to jakgdyby pismo figuralne, mające uzmysłowić wiernym tajemnice wiary i przypomnieć dzieje Kościoła. Katedra w Chartres jest przyozdobiona dziesięcioma tysiącami postaci malowanych i rzeźbionych.

Umysły prostaczków, nie umiejących czytać, znajdowały tu pokarm duchowy, który im zastępował niedostępne księgi. Z tego powodu nazwano katedrę gotycką „Biblją ubogich".

Nowy styl wprowadził do dorobku architektonicznego ludzkości nowy czynnik, potrafił bowiem ożywić duchem natchnionym martwe, nie przemawiające do duszy, piękno dzieł mistrzów pogańskich, jak pięknie to wyraził Or-Ot: „Ocknij się — i wstań duchem! każdy kamień woła“. Świątynie przestały budzić w duszach lęk, przeciwnie zdają się wpływać na wiernych kojąco i zanosić swemi strzelistemi kształtami korne modły przed tron Przedwiecznego.

„W toń obłoków wystrzela smukłych wieżyc szczytem, jakby do tronu Boga słał modlitwy ludu, wezbrane krwią i łzami, jakby czekał cudu, lub proroczych objawień wiary i zapału“. Jeszcze piękniej i dobitniej od Or-Ota wyraził to uduchowienie wieżyc gotyckich Józef Kremer przy opisie kościoła Marjackiego: „Ponad rynek i miasto, ponad kraj wkoło unosi się poważnie uroczysty kościół Marjacki, on jest całego ludu i kilku wieków modlitwą skamieniałą. Wznosi się przybytek Matki-Dziewicy na tle głębokiem nieba. Wzbija się wieża, jakby uniesiona cherubina lotem, pozostawiła siostrzycę swoją niższą bliżej ziemi, bliżej doczesności i jej spraw, sama zaś wzbija się wśród topieli światłości nocy i w nich się nurza i płynie i pali, jakby kagańcem na wysokościach. U góry unosi z sobą wieniec wieżyczek lekkich, budując z nich wkoło siebie jakby twierdzę nadpowietrzną wiary. Znowu wyżej i wyżej piętrzy się lekkie budowanie i dosięga promienistej korony, którą ludzie uczcili Boga-Rodzicę. Wystrzeliła już wieża powyżej korony i u podgwiezdnych szczytów niesie błyszczącą kulę, świata godło, nad kulą, nad światem chorągiew, miłosierdzia sztandar, na niej imię Marji „Pośredniczki ziemi i nieba“. Świątynia czuwa nad miastem jako orędownica jego, w niej złożone jego nadzieje i miłości ciche wierzenia“.

Katedry w średniowieczu były tem ogniskiem duchowem, około którego skupiało się życie ówczesnych miast. Tu mieszkańcy szukali pociechy w swych troskach codziennych i tu odbywały się wszelkie uroczystości. W ich murach bowiem nietylko były odprawiane uroczystości, lecz i świeckie sprawy były rozpatrywane. Wzgląd na poświęcone miejsce niejednokrotnie powstrzymywał krewkie umysły od zbyt gwałtownego starcia podczas narad i zjazdów państwowych. W kościołach wreszcie odbywały się pobożne misterja religijne, będące zaczątkiem odro-

dzonej sztuki dramatycznej. Jakby dla podkreślenia tej spójni duchowej, jaka łączyła katedrę z mieszkańcami miast, wszyscy starali się żyć obok niej jaknajbliżej. Katedry nie były wznoszone na obszernych i pustych placach. Przeciwnie, każdy chciał mieszkać w jej cieniu. Do jej wspaniałych murów tuliły się niskie domki średniowieczne. W dniach uroczystych nietylko mieszkańcy danego miasta, lecz i nieraz z odległych miejscowości zbiegali się wierni w celu asystowania przy Mszy św. i całowania relikwij męczenników. Pomimo olbrzymich rozmiarów, kościoły niejednokrotnie ni › były zdolne pomieścić tłumów wiernych i wielu zdaleka tylko mogło być obecnymi. Miasta rywalizowały ze sobą, które z nich zbuduje katedrę obszerniejszą, wyższą i wspanialszą. Ona była ich dumą i skarbem najdroższym. Nikt nie żałował trudu i był stokrotnie wynagrodzony, skoro mógł spoglądać na wieżyce górujące ponad miastem:

„A jak do ula mknie z pożytkiem pszczoła,
Tak się też garnął naród do kościoła:
Wielki i mały przed Bogiem się korzył,
I do budowy cegiełkę dołożył“. (W. Pol)

A nie była to tylko czcza duma i ambicja. W tej świętej gorliwości każdym kierowała przedewszystkiem troska o chwałę Bożą:

„Przez imię pańskie i w imię skupienia
Pragnął na ziemi człowiek ślad położyć.
I Pan Bóg dawał proroczne natchnienia
I iskrę swoją i człek zdołał tworzyć“. (W. Pol)

Wszystko, co człowiek miał najlepszego, to złożył w ofierze. Najwięksi artyści wysilali swój genjusz na przyozdobienie domów Bożych:

„Na chwałę Pańską dla świata nauki
Wzniosły się gmachy, przemówiły sztuki". (W. Pol)

Bogaci i biedni wszyscy składali swoje mienie w ofierze i uważali za zaszczyt, jeżeli mogli sami przy budowie pracować. Wspaniały widok przedstawiały tłumy, znoszące materjały budowlane i pracujące z relgijnem uniesieniem. We Francji, z powodu braku wielkich głazów, musiano zwozić budulec Renem do Kolonji. Dalej trzeba go było drogami lądowemi przewozić na miejsce przeznaczenia. Transportowano bez pomocy inwentarza.

Tysiące osób ciągnęły wozy, śpiewając pieśni nabożne. Kobiety, dzieci, starcy, wszyscy na wyścigi wedle sił pomagali.

Wbrew ogólnej opinji, katedry powstawały bardzo szybko. Zdawało się, że mury przy pieniach pobożnych rosną w oczach, że głazy układają się same jedne na drugie, jak mury Teb przy dźwiękach liry mistycznego Amphiona. Tak np. gdy w r. 1235 św. Ludwik IX, król francuski, idąc pieszo przez ulice Paryża, w celu spotkania relikwji korony cierniowej, ślubował wśród powszechnego entuzjazmu zbudowanie katedry, to już po ośmiu latach świątynia była zbudowana i mogła dać schronienie św. pamiątkom męki Pańskiej.

W jakże smutnem świetle przedstawiają się nasze czasy, kiedy długie lata upływają, zanim niewielki stosunkowo rozmiarami kościół zostanie ukończony! Cóż mówić o małych miastach, jeśli Warszawa, stolica o miljonowej ludności, przez kilkadziesiąt lat nie może się doczekać całkowitego ukończenia kościoła Zbawiciela. Jeśli dalej w tym tempie pójdzie, to jest wątpliwe, czy nasi wnukowie ujrzą ukończoną świątynię Matki Boskiej Częstochowskiej, budowaną przy ul. Łazienkowskiej (Warszawa). O świątyni Opatrzności na Kamionku lepiej nie wspominać, bo chociaż już kilka lat upłynęło od pamiętnej uchwały sejmowej, jeszcze nie przystąpiono do budowy.

Należy zaznaczyć, że dzieje się to wszystko w dobie niebywałego rozkwitu techniki. Okazuje się, że nasza epoka tak dumna z przypominających koszary „drapaczy" nieba zapomniała o przysłowiu: „Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie".

W „barbarzyńskiem" średniowieczu o chwałę Bożą dbano trochę więcej. Ludzie ówcześni niezdolni byli do obłudy i krętactwa. Gdy wierzyli, to można było być pewnym, że do swej religji są przywiązani całem sercem i że gotowi są do ostatka bronić swych ideałów. Jeśli do innych epok, to tembardziej do średniowiecza trzeba zastosować to powiedzenie, że społeczeństwo ma taką architekturę, na jaką zasługuje. Wcześniej i później powstały wspaniałe gmachy, lecz nigdy nie zdołano stworzyć świątyń, w których dusza ludzka czułaby się bardziej swojsko, niż w katedrach gotyckich.

W ich murach niby ów skarb mistyczny, jest zaklęta gorąca wiara średniowieczna, z jaką pracowali ich budownicy.

„I cała dusza w każdej pracy leży
I świadczy Panu i kocha—i wierzy". (W. Pol)

Zda się, że ci wielcy twórcy udzielili swego ducha martwym głazom, które teraz jakgdyby wyrywają się ponad poziomy i dążą ku niebios szczytom. Jak przed wiekami, tak i teraz skierowują myśl ludzką przed tron Najwyższego i swemi strzelistemi kształtami wołają: „Sursum Corda". „Gdybyż wiarę tych murów miały ludzkie serca" (Or-Ot).

Z chwilą upadku porządku średniowiecznego zanika gotyk. Owiane duchem pogańskim umysły lubują się w renesansie i baroku. Styl architektoniczny, według którego budowano niegdyś katedry, nazwano pogardliwie gotyckim, czyli barbarzyńskim. Nazwa ta pozostała dotychczas, chociaż romantyzm zdołał ocenić należycie całe jego piękno i najwybitniejsi przedstawiciele poświęcili mu swe genjalne utwory.

Zygmunt Prószyński.

Gdy nie jesteś budowniczym.

Gdy nie jesteś budowniczym,
musisz być — budulcem,
wapnem, młotem robotniczym,
gdy nie jesteś budowniczym.

Lecz nie wolno ci być — niczem,
tembardziej — hamulcem.
Gdy nie jesteś budowniczym,
musisz być -- budulcem.

* * *

Biada murom z cegieł wielu,
niespojonych niczem!
Nieprzyjaciel bez fortelu
zwali mur ten z cegieł wielu.

Kto to wznosił? w jakim celu?
Hańba budowniczym!
Biada murom z cegieł wielu,
niespojonych niczem!

Jan Tarwid.

Zgromadzenie Marji.

(XX. Maryści).

Pośród licznych zakonów i zgromadzeń zakonnych, których członkowie pracują w dobie bieżącej, na misjach, znajduje się także nieznane u nas, w Polsce, prawie zupełnie Zgromadzenie Marji, zwane pospolicie Zgromadzeniem księży Marystów. Ponieważ kongregacja ta ma zamiar osiedlić się w najbliższej przyszłości na ziemiach polskich, godzi się zapoznać bliżej z nią samą, a przedewszystkiem z jej założycielem.

Zgromadzenie Marji powstało przed stu laty, założył je zaś prosty wikary francuski, ks. Jan Klaudjusz Colin, należący do djecezji ljońskiej. Jeszcze w czasie pobytu w seminarjum duchownem czcigodny ten sługa Boży marzył o utworzeniu związku, poświęconego życiu wewnętrznemu na cześć Najświętszej Marji Panny. Pragnąc myśl swą zrealizować jaknajprędzej, utworzył organizację taką pomiędzy klerykami z Ljonu, z dwunastu jednak pierwszych członków po pewnym czasie wystąpiło ośmiu, wskutek czego nad młodem dziełem zawisła groźba likwidacji. Chwile to były rzeczywiście ciężkie, lecz ks. Colin nie stracił ufności w Boga. W 1819 r. ułożył on ustawy zgromadzenia, przedłożył je władzom duchownym, a gdy uzyskał od nich aprobatę, zabrał się do pracy z jeszcze większym zapałem. Po upływie lat trzech t. zn. w 1822 r. świętobliwy kapłan ten przedstawił plan swojego dzieła Ojcu św. Piusowi VIII. Namiestnik Chrystusowy pochwalił ideę przewodnią projektowanej kongregacji, przychylnie też odniósł się do niej biskup ljoński, to też ks. Colin, dobrawszy sobie do pomocy kilku gorliwych o chwałę Bożą kapłanów, rozpoczął na szerszą skalę działalność misyjną, prowadząc misje po parafjach. Lud, uczęszczający na kazania pobożnego misjonarza, stosował się do jego rad i pouczeń, porzucał drogi grzechu, owoce zatem wysiłków ks. Colin'a były aż nadto widoczne, na podstawie tego więc Stolica Apostolska uznała dzieło owe za godne potwierdzenia oficjalnego. Dnia 29-go kwietnia 1836 r. papież Grzegorz XVI wydał breve „Omnium gentium salus", gdzie zatwierdził ostatecznie Zgromadzenie Marji, wyznaczając mu równocześnie, jako teren pracy misyjnej wyspy Oceanji. W tym samym jeszcze

roku, mianowicie dnia 24 września, pierwsi księża Maryści w liczbie dwudziestu z bł. Piotrem Ludwikiem Marją Chanel'em, tudzież ks. Marcelinem Champagnat'em złożyli śluby zakonne, poczem na generała zakonu swego wybrali swojego założyciela, ks. Colin'a.

W ten właśnie sposób myśl przyoblekła się w szatę rzeczywistości, czcigodny sługa Boży wszakże nie spoczął na laurach, jeno pracował niestrudzenie dalej. Przez lat osiemnaście sprawował urząd generalski z zapałem, dopiero w r. 1854 usunął się w zacisze samotni, oddając się kontemplacji. Wogóle ideałem ks. Colin'a było życie ukryte, wzorem którego było dlań życie ukryte Matki Boskiej w Nazarecie. Bogarodzicę miłował świątobliwy ten kapłan ogromnie. Najwymowniejsze są w tym względzie słowa św. Jana Vianney'a, wielkiego proboszcza z Ars, który był przyjacielem i współuczniem ks. Colin'a. On to kiedyś, zachwycony, zawołał: „O, mój Boże, jakże ten Colin kocha Matkę Boską, jakże Ją kocha gorąco!" W samotności spędził pobożny założyciel lat kilkanaście, wykańczając regułę swego dzieła, która wprowadzona została w życie w 1873 r.

Pracowity nadzwyczaj był żywot ks. Colin'a, praca była forsowna, wyczerpująca, mimo to jednak doczekał wieku sędziwego, zmarł bowiem, jako starzec osiemdziesięciopięcioletni. Doczesną swą pielgrzymkę zakończył on dnia 15 listopada 1875 r. Obecnie księża Maryści myślą o doprowadzeniu do skutku jego beatyfikacji. Do tego brakuje niewiele, gdyż św. Kongregacja Obrzędów przyznała mu już tytuł kościelny czcigodnego sługi Bożego, czyli, mówiąc innemi słowy, stwierdziła heroizm jego cnót.

Dzieło ks. Colin'a po jego śmierci rozwijało się dalej i rozwija się nadal także dziś. Celem jego, jak mówi wydana niedawno temu w Paryżu w języku polskim broszurka p. t. „Zgromadzenie XX. Marystów", jest „1. dojście do doskonałości i świętości na podstawie zachowywania trzech ślubów t. j. czystości, posłuszeństwa i ubóstwa i spełniania zwyczajnych praktyk religijnego życia; 2. praca nad zbawieniem bliźniego przez nauczanie i misje w krajach katolickich, protestanckich i niewiernych; 3. nauka i obrona w pierwszym rzędzie dogmatów kościoła katolickiego w całej ich nieskazitelności".

Prace księży Marystów w Europie polegają głównie na na prowadzeniu misyj po parafjach, rekolekcyj, konferencyj, nie

jest to wszakże wyłączne pole ich działania, bo oprócz tego prowadzą zakłady wychowawcze dla młodzieży, przyczem zanotować tu trzeba ten fakt, iż uczniowie po wyjściu z ich szkół średnich i po wstąpieniu na uczelnie wyższe pozostają nadal pod ich opieką moralną, gdyż dla nich tworzą księża Maryści internaty, chroniąc ich przez to od złych wpływów otoczenia.

Podobnie, jak na kontynencie, postępują synowie duchowi ks. Colin'a i w Ameryce, a praca wśród pogan koncentruje się w Oceanji. O początkach jej ciekawe szczegóły opowiada znakomity historyk francuski, Jerzy Goyau z Akademji Francuskiej, w dziele swem, wydanem w Paryżu, a zatytułowanem: „Histoire religieuse", stanowiącem tom szósty, zbioru p. t. „Histoire de la nation française". „Historja Marystów,—brzmią jego słowa — niosących światło krzyża przez Oceanję. — to prawdziwe dzieje bohaterskie. Kilku księży, zgromadzonych w Ljonie przez pokornego o. Colin'a, stało się w krótkim czasie zdobywcami duchowymi całego świata... Biskup Bataillon odwiedza na małych statkach żaglowych archipelag po archipelagu, aby zobaczyć, co dzicy zrobili z jego zakonników i co zakonnicy zrobili z dzikich. Nikt im nie torował drogi, rzucili się do pracy bez jakichkolwiek doświadczeń uprzednich. Ich ewangelizacja jest to improwizowane stykanie się z ludźmi, którzy często nie wydobyli się jeszcze ze stanu natury. Mają oni między sobą już męczenniką Chanel'a. Z posiewu tego męczeństwa Bataillon w czterdziestym roku apostolstwa zbiera już obfite owoce". Tak oto było przed laty pięćdziesięciu, za dni naszych zaś jest lepiej znacznie, ale pojawiły się też niebezpieczeństwa. „Krew męczeńska jednego biskupa, trzech księży i dwuch braci-pomocników, —pisze autor owej broszurki polskiej — nieustające walki z cyklonami i zdradliwemi bałwanami morskiemi, z niezdrowym klimatem i skwarem okropnym, borykanie się z dzikością i apatją tubylców oraz z konkurencją bogatych misjonarzy protestanckich wydało pod dziwnem błogosławieństwem Bożem takie owoce: W Nowej Zelandji Kościół katolicki rozwija się pomyślnie i ma ustrój hierarchiczny; wszystkie wyspy archipelagu Oceanji środkowej i zachodniej są obecnie pokryte siecią misyj, dzielących się na sześć wikarjatów i jedną prefekturę apostolską; zaczyna się tam organizować kler z ludności tubylczej. Lecz na tem nie koniec; dzieło synów ojca Colin'a nie może

na tem poprzestać. Wdzierają się bowiem w archipelag misjonarze protestanccy i zagrażają rywalizacją. Z Azji przychodzą na wyspy emigranci i grożą ludności zalewem. Na wielu wyspach wreszcie praca ewangelizacyjna dopiero zaledwie dotknęła ludności wewnętrznej części kraju. Potrzeba więc nowego przypływu misjonarzy, by móc pracę prowadzić wydatnie w dalszym ciągu". Tych nowych bojowników o triumf Chrystusa Pana chcą księża Maryści wychować z młodzieży polskiej i dlatego oto pragną się osiedlić w Polsce.

Liczebnie Zgromadzenie Marji posiada w dobie obecnej dziewięć prowincyj (pięć w Europie, dwie w Ameryce, dwie w Australji), pięć nowicjatów, sześć scholastykatów, trzydzieści jeden zakładów naukowych, sześćdziesiąt pięć parafij i sto dwanaście stacyj misyjnych w krajach pogańskich.

J. M. Chudek.

Z afrykańskich misyj.

Serce się kraje wobec nadchodzących nieustannie wieści o nieszczęściach i klęskach w Misjach w Afryce. Zdaje się poprostu nieraz, że nastały tam czasy świętego Joba. Następujący list W. O. Pellegrini, ze Zgromadzenia Synów Serca Jezusowego, skierowany do Sodalicji św. Piotra Klawera, wykaże Czytelnikom, że nie przesadzamy.

„Zbieram się na odwagę i piszę z prośbą o modlitwę, a także i o pomoc materjalną, abym mógł odbudować mą biedną Stację, zniszczoną przez gwałtowną nawałnicę.

Jednego z ostatnich wieczorów, kiedy wykończaliśmy właśnie wiązania dachu budynku szkolnego, rozszalała się nagle przerażająca zawierucha, która w mniej niż pół godziny zniszczyła prawie wszystkie domy misyjne. Pierwszy runął kościół, zmieciony aż do fundamentów. Następnie rozpadła się szkoła, trzy chaty chłopców, ich kuchnia, cztery inne chaty zrujnowane i dach domu Sióstr został zerwany. Jedynie nasz dom wyszedł cało, oraz stary budynek szkolny, który musieliśmy czemprędzej przerobić na kaplicę. Prawdziwie klęska, co łzy wyciska! Szkody, nie dadzą się poprostu obliczyć. Boski Zba-

wiciel znajduje się bez kościoła, chłopcy nie mają szkoły i sypialni, Siostry dachu. Pan Bóg doświadczył nas próbą bardzo wielką, która prawie, że nas przygniata. Schyliliśmy jednak głowę w obliczu Jego świętej woli i poddaliśmy się wyrokom Jego całkowicie. On, który dopuścił to nieszczęście, doda nam mocy do wydźwignięcia się się zeń i odbudowy Stacji. Przyrzekliśmy już Panu, że wystawimy Mu świątynię piękniejszą, większą i mocniejszą i że podobnie będzie z resztą budynków, a tak później, po czterech lub pięciu latach, my lub też już i nasi następcy, wolni od materjalnej troski i pracy, będą mogli oddawać się niepodzielnie pracy nad duszami. Podczas tegoż nieszczęścia mieliśmy dowody namacalne opieki Bożej i Matki Niepokalanej. Tabernakulum pozostało nienaruszone, statua Niepokalanej Dziewicy, co spadła gwałtownie z ołtarza, który także uległ zniszczeniu, jest cała i nieuszkodzona, nie opłakujemy żadnych ofiar w ludziach. Pan Bóg więc nie opuści nas i teraz i natchnie szlachetne dobre dusze, by nam przyszły z pomocą. A także i Sodalicja św. Piotra Klawera powiadomi Dobroczzńców Afryki o klęsce, jaka nas dotknęła i o tem jak bardzo potrzebujemy pomocy.

Ja z mej strony nie będę się oszczędzał pod żadnym względem i chociaż nie jestem zbyt mocny i też już nieco wyczerpany, wezmę się do wszelkiej pracy fizycznej i ufam, że Stacja Torit z pomocą Bożą i dobrych ludzi powstanie z ruin piękniejsza i większa, niż dotychczas. Oby Bóg pobłogosławił te nasze pragnienia, a dobroczyńcy osłodzili gorycz nieszczęścia"!

O tak, niechby Bóg, który doświadcza i podnosi, który zasmuca i pociesza raczył przybyć na pomoc tylu ruinom, wzruszając dobroczyńców pełnych miłosierdzia, co obfitemi jałmużnami umożliwią Misjonarzom jaknajprędszą odbudowę!

Ofiary przyjmuje Sodalicja św. Piotra Klawera—Warszawa, ul. Warecka 10/5; Kraków, ul. św. Marka 25; Poznań ul. R. Szymańskiego 6.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

Bibljografja

najnowszych wydawnictw katolickich.

Zestawił J. M. Chudek.

Art Jan. Pius IX. Wspomnienie o Wielkim Papieżu i Przyjacielu Polski z okazji 50-lecia skonu. Warszawa, 1928. Nakładem Komitetu Głównego Akcji Katolickiej. (Bibljoteka Akcji Katolickiej, Nr. 3) Str. 42+2 nlb. + portret. Cena 1 złp. 20 gr.

Augustynik Grzegorz ks., Paulin na Jasnej Górze. Echa po śmierci świętobliwej Wandy Malczewskiej czyli różne łaski, udzielone przez Pana Boga za Jej przyczyną. Ciąg dalszy. Początek w książce „Miłość Boga i Ojczyzny" wydanie I, II, III i IV. Echa 1925, 1926 i 1927 r. Zebrał i wydał... Częstochowa, 1928. Str. 46+2 nlb. Cena 75 gr.

Chudek J. M. Do Królowej Korony Polskiej. Pięć pieśni na znaną nutę. Str. 8. ***

Chudek J. M. Wiśniowiec. Opracował... 1928. str. 8. ***.

Krótki zarys dziejów kościoła o.o. Karmelitów, fundowanego przez Jeremę, oraz zamku w Wiśniowcu.

Chudek Józef Marjan. Bł. Andrzej Bobola. Napisał... 1928. (Orędownicy polskiej ziemicy przed tronem Pana nad pany. 16 maja), Str. 8. ***

Chudek Józef Marjan, redaktor „Przeglądu Misyjnego". Brat Albert Chmielowski. Szkic biograficzny. Warszawa, 1928, Str. 8. Cena 15 gr.

Czeska-Mączyńska Marja. Czarne pisklęta. Rzecz sceniczna w III odsłonach. Kraków, 1928. Nakładem Wydawnictw Księży Jezuitów. St. 35 + 1 nlb. Cena 50 gr.

Jasiński Ignacy ks. O grzechu śmiertelnym. Zebrał... Wydanie czwarte. Warszawa, 1928. Nakładem S. S. Loretanek. Str. 32. Cena 10 gr.

Jasiński Ignacy ks. O sądzie Bożym. Zebrał... Wydanie czwarte. Warszawa, 1928. Nakładem S.S. Loretanek. Str. 32. Cena 10 gr.

Kączkowska Marja. Dziecięce lata (o. Wiljama Doyla). Warszawa, 1928. (Bibljoteczka „Radości Życia". Nr. 7). Str. 47 + 1 nlb. Cena 40 gr.

Kączkowska Marja. Imelda. Warszawa, 1928. (Bibljoteczka „Radości Życia". Nr. 8). Str. 31+1 nlb. Cena 30 gr.

Kączkowska Marja. Tarsycjusz. Drugie wydanie. Warszawa, 1928. (Bibljoteczka „Radości Życia" Nr. 2). Str. 15+1 nlb. Cena 20 gr.

Kączkowska Marja. Życie Janka. (Św. Jan Vianney). Warszawa, 1928. (Bibljoteczka „Radości Życia". Nr. 9). Str. 23 + 1 nlb. Cena 30 gr.

Krótka wiadomość o świątobliwej Wandzie Malczewskiej oraz nowenna o jej rychłą beatyfikację jakoteż o łaski osobiste we wszelakich potrzebach. Kraków, 1928. Str. 7+1 nlb. Cena 10 gr.

Liguori Alfons św. Nowenna do Najsłodszego Serca Jezusowego. Przykłady dodane przez O. Saint Omer, Redemptorystę. Przetłumaczyła M. K. Wydanie ósme. Poznań—Warszawa—Wilno—Lublin, 1928. Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Str. 81+3 nlb. Cena 70 gr.

Małżeństwo w świetle nauki katolickiej. Praca zbiorowa profesorów Uniwersytetu Lubelskiego. Lublin, 1928. (Towarzystwo

Wiedzy Chrześcijańskiej. Lublin, Uniwersytet. Tom I). Str. 4 nlb. + 389+ 3 nlb. Cena 9 złp.

Mystowski Stanisław ks. dr. Idea prawa naturalnego w starożytności i u scholastyków. (Studjum prawno-etyczne). Warszawa, 1928. Str. 182+4 nlb. Cena 4 złp. 50 gr.

Około-Kułak Ant. ks. dr., wik gen. metropolity mohylowskiego. Kościół w Rosji dawniej, obecnie i w przyszłości. W tekście 21 ilustracyj. Kraków, 1928. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów. (Sprawy Misyjne. Serja I, Nr. 8). Str. 39+1 nlb. Cena 60 gr.

Sto rad i upomnień udziela Józef siostrze swej Stefanji. Wydanie piąte. Warszawa, 1928. Nakładem Wydawnictwa Księży Pallotynów. Str. 62+2 nlb. Cena ' złp.

X. S. K. Akty do odmawiania przed i po Komunji św. (dla dzieci). Kraków, 1928. Str. 8. ***

Żelechowski S. Bolszewicki dyktator Meksyku. Opracował... 1928. Str. 8. ***

Żelechowski S. Parę uwag o wolnomyślicielach. Opracował... 1928. Str. 8. ***

Wszystkie wymienione wydawnictwa nabywać można w księgarni „Polak-Katolik" w Warszawie przy ulicy Krakowskie Przedmieście 71, skład główny zaś wydawnictw SS. Loretanek mieści się w Warszawie przy ulicy Miodowej 17. Wydawnictwa, oznaczone przez znak ***, w sprzedaży księgarskiej nie ukazały się, ponieważ wyszły bądź jako dodatki do czasopism, bądź jako odbitki o niewielkim nakładzie.

La psychothérapie du dr. Kittoz (Une philosophie ptatique de la vie). **Dr. P. D'Espigney.** Pazs I-e Pierre Thèqui 1927, str. 42 cena 2 fr.

Badania Dr. Kittoza nad wibracjami mózgu polegają na uchwyceniu pewnych różnic w tych wibracjach w pewnych stanach wewnętrznych. Wykazują one, że człowiek chory w chwilach opanowania staje się zupełnie normalnym. Powrót do normalności nie może być spostrzeżony inaczej, jak tylko przez jakość wibracyj, z powodu zbyt krótkiego czasu trwania.

Odkrycie Dr. Kittoza prowadzi odrazu do wniosku, że ukrócenie panowania w nas nieświadomości nad świadomością, tak zgubnego dla rodzaju duchowego człowieka, podlega naszym własnym władzom, jest przez nas samych możliwą do osiągnięcia.

Z chwilą, gdy ścisłe badania medycyny nie stawiają sprzeciwu celowości prowadzenia walki z własnemi stanami psychopatologicznemi, rozwinąć można cały system i program tej walki.

Autor broszurki na podstawie pism Dr. Pittoza, a często i własnemi jego słowami podaje szereg rad i sbosób, za pomocą których możemy osiągnąć wyższy stopień wyrobienia duchowego. Rady te dotyczą głównych momentów życia, omawiają jak mamy przyswajać pojęcia, tworzyć sądy, w jaki sposób posługiwać się wolą itd. Dowiemy się z nich nawet, jak należy odpoczywać i pracować. **M. J.**

Przystępnie i bardzo popularnie skreślił **Ks. T. Reginek** kwestje apostolstwa świeckich w książce p. t. **„Apostolstwo w Królestwie Chrystusowem"**. (Kraków, 1927. Nakład autora, str. 114). Znajdujemy tu obok udowodnienia potrzeby apostolstwa, szereg sposobów, za pomocą których dążyć trzeba do spełnienia hasła „Pax Christi in regno Christi". Hasło to jest punktem wyjścia dla książki.

* * *

Dzieje Teresy Neumann nabierają dziś na całym świecie coraz większego rozgłosu. Nie pomijając ze wszech miar cennych dowodów prawdziwości, niezrozumiałych dla wielu faktów, z życia Teresy **Ks. Dr. A. Kuczyński** przedstawił je w **„Niezwykłych dziejach Teresy Neumann z Konnersreuth"** (Warszawa 1927. Dom Książki polskiej str. 30).

* * *

Bezsprzecznie do propagandy akcji katolickiej w Polsce przyczynić się może broszura p. t. „**Rodzina Chrześcijańska**" wydana nakładem Kom. Głównego Akcji Kat. w Warszawie (Biblj. Ak. Kat. № 2, str. 73).

Jest to obszerne sprawozdanie ze zjazdu Ligi Kat. parafji Czerniaków, zawierające prócz spraw czysto formalnych szereg referatów, omawiających zadania rodziny chrześcijańskiej, obowiązki męża i ojca, matki i żony, zagadnienia wychowawcze.—Z pośród nich na wyróżnienie zasługuje ref. p. Sobańskiego p. t. „Stanowisko i obowiązki ojca i męża w rodzinie katolickiej".

Należy skłonić głowę przed pracą Ks. Kęsickiego, proboszcza w Czerniakowie, oraz jego parafjan, dla akcji kat. wogóle, a szczególnie dla pierwszego zjazdu Kat. Ligi parafjalnej. **M. J.**

Wiadomości z kraju i zagranicy.

Błogosławieństwo papieskie dla prasy katolickiej w Polsce. (KAP) Pod koniec posłuchania, udzielonego J. Em. ks. Kardynałowi Kakowskiemu na Watykanie, towarzyszący Kardynałowi ks. St. Mystkowski zwrócił się do Ojca św. Piusa XI z prośbą o udzielenie specjalnego błogosławieństwa prasie katolickiej w odrodzonej Polsce.

Jego Świątobliwość podniesionym głosem i z niezwykłem ożywieniem oświadczył: „Błogosławię z całego serca wszystkim przedstawicielom prasy katolickiej w drogiej sercu mojemu Polsce i życzę jaknajwiększego powodzenia ich pracom na tem polu".

Przyszły Kongres Eucharystyczny w Częstochowie. (KAP) Podajemy poniżej w ogólnym zarysie program kongresu eucharystycznego, który odbędzie się w dniach 7—9 września r. b. Kongres rozpocznie się w piątek dn. 7 września wieczorem procesją eucharystyczną ze światłem po wałach jasnogórskich, następnie wygłoszone zostanie przemówienie. Najświętszy Sakrament będzie wystawiony przed szczytem na adorację przez całą noc.

W sobotę, dn. 8 września po rannej Mszy św. i po kazaniu odśpiewane będą przez rzesze wiernych przed szczytem „Godzinki". Następnie odprawione zostaną następujące nabożeństwa z okolicznościowemi kazaniami: o g. 9-ej dla wojska, o godz. 10-ej dla młodzieży szkolnej, a o g. 11-ej suma pontyfikalna. Po południu odbędą się przed szczytem zebrania poszczególnych stanów: o g. 3-ej dla niewiast, o g. 5-ej dla młodzieży i o g. 7-ej dla mężczyzn i wygłoszone zostaną odpowiednie przemówienia. Dzień ten zakończy wielka procesja po wałach, poczem Najświętszy Sakrament znów wystawiony będzie przed szczytem na adorację przez całą noc.

W niedzielę dn. 9 września po rannem nabożeństwie przed szczytem odbędzie się wspaniała procesja do katery, gdzie odprawiona zostanie suma pontyfikalna i równocześnie msza św na balkonie katedry, ponieważ olbrzymie rzesze wiernych w katedrze się nie pomieszczą. Kazanie zostanie wygłoszone w katedrze, rozgłośniki będą ustawione tak, że wszyscy i poza murami katedry usłyszą słowa kaznodziei Po południu odbędzie się przed szczytem jasnogórskim zebranie robotników z całej diecezji, poczem nastąpi zamknięcie kongresu.

W kongresie weźmie udziadł cała diecezja częstochowska i wielkie rzesze pątników, które rok rocznie w dniach tych przybywają na Jasną Górę. Ogólna liczba uczestników wyniesie prawdopodobnie kilkaset tysięcy osób. Komitet przygotowawczy celem zorganizowania kongresu i wykonania powyższego programu utworzył następujące sekcje: przyjęć, kolejową, porządkową, pochodową, dekoracyjną, prasową i sekcję doraźnej pomocy lekarskiej. Wszelkich informacyj o kongresie udziela Generalny Sekretarjat Ligi Katolickiej w Częstochowie.

Niezwykłe uleczenie w Częstochowie. (KAP) Czesława Kozłowska, lat 14, zamieszkała w Troskach, par. Naruszewo, djec. Płockiej, miała od lat dziecięcych — jak stwierdza lekarz dr. Zdzisław Sokólski — w znacznym stopniu przytępiony słuch, spowodowany nieżytem trąbek Eustachjusza. Na Zielone Świątki r. b. wybrała się mała Czesia wraz z matką do Częstochowy i tam, po żarliwej modlitwie, odzyskała — jak znów stwierdza dr. Sokólski — zupełnie dobrą i normalną zdolność słyszenia.

Akademicka adoracja Najśw. Sakramentu w Wilnie. (KAP) Z okazji oktawy Bożego Ciała w niedzielę dn. 10 czerwca w akademickim kościele św. Jana, z inicjatywy Akademickich Sodalicyj Marjańskich, odbyła się uroczysta adoracja Najświętszego Sakramentu.

Mszę św. celebrował ks. prof. dr. Ignacy Świrski, dziekan Wydziału Teologicznego, do której służyli akademicy. Podczas Mszy świętej straż przy Sanctissimum trzymali członkowie akademickich korporacyj (związków kolorowych): K. Batorja, K. Leonidania, K. Conradia, K. Concordia, a po dwie pary studentów i studentek klęczało na klęcznikach. Adoracja trwała do g. 8-ej wieczór, kiedy uroczyście została zakończona. W adoracji brali udział członkowie organizacyj katolickich.

Rezolucje Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w obronie Kościoła i Ojczyzny. (Z okazji Zjazdu poznańskiego podczas Zielonych Św.) (KAP) Na uroczystem zebraniu zlotowem Związku Młodzieży Polskiej w Poznaniu w drugi dzień Zielonych Świąt, młodzież, zgromadzona w liczbie 5 tysięcy, przyjęła niemilknącemi oklaskami następujące rezolucje:

1) Młodzież, zgromadzona na 1 zlocie Związku Mł. Pol, stwierdza, że pragnie wytrwale stać pod sztandarami Boga i Ojczyzny, ideałów katolickich i narodowych wszędzie i zawsze bronić, pomnąc na ową piękną tradycję, jaką ma poza sobą krzyż w życiu narodu polskiego. Hasłem Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej będzie po wieki: „Odrodzić naród w Chrystusie".

2) Z hasła „Odrodzić naród w Chrystusie" wypływa konieczność usilnej pracy, która umiejętnie kierowana i podjęta z zapałem przez członków SMP. wychowa dzielne młode pokolenie, gotowe do służby Bogu i Ojczyźnie. I zlot Związku Młodzieży Polskiej wzywa wszystkich druhów do dalszej, pełnej zapału młodzieńczego pracy nad wychowaniem religijnem, oświatowem i fizycznem z myślą „Dla Boga i Polski".

3) 1 zlot Zw. Mł. Pol. stwierdza konieczność szczególnego zajęcia się wychowaniem fizycznem i zobowiązuje wszystkie S. M. P. do prowadzenia pracy w kieruku wyszkolenia silnych i zdrowych synów Ojczyzny, którzy nietylko duchem mocni, lecz i ciałem stanowić będą tężyznę narodu i dla Ojczyzny w każdej chwili gotowi będą złożyć życie w ofierze.

4) Młodzież, zebrana na 1 zlocie związkowym, potępia jaknajsurowiej wszelkie dążenia wywrotowców, skierowane czy to w kierunku stworzenia Kościoła narodowego, czy też ustroju socjalistycznego i komunistycznego na ziemi, Z hasłami temi nigdy bratać się nie będzie, a wszelkie napaści na wiarę i polskość odeprze tak, jak jej nakazują obowiązki Katolika-Polaka.

5) 1 zlot Związku M. P. zwraca się do Młodzieży, nie stojącej jeszcze pod jego sztandarami, aby, zrozumiawszy myśl „młodzież przyszłością narodu", do szeregów S.M P. gromadnie stanęła, dając tem świadectwo, że pragnie pracować w myśl ich ideałów.

6) 1 zlot Związku M. P. zwraca się do starszego społeczeństwa o pomoc w wielkiej pracy, jaką młodzież wzięła na siebie, pragnąc oddać Polskę Chrystusowi wychowaną w myśl zasad świętego Kościoła katolickiego.

7) Męczennikom wiary w Meksyku, zwłaszcza katolickiej młodzieży meksykańskiej, która mężnie walczy o ideały Chrystusowe, nie cofając się przed śmiercią męczeńską, 1 zlot Zw. Mł. Pol. przesyła wyrazy podziwu i braterskie pozdrowienia.